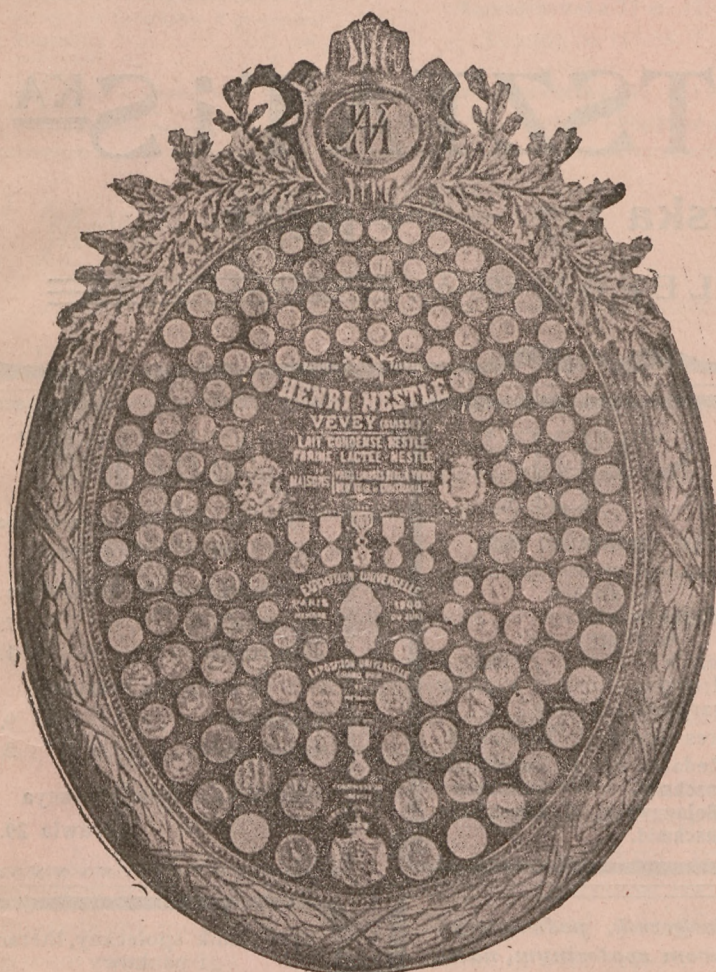


WOLNE SŁOWO

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

POD REDAKCJĄ **Leo Belmonta.**



Jeden z licznych dowodów uznania jakim cieszy się słynna na całej kuli ziemskiej od lat z górą 40-tu

Mączka mleczna **NESTLÉ'A.**
Mleko zgęszczone

Treść Numeru.

1. Wolne Słowo
2. Zamiast prośpektu
3. Na strażnicy
4. Najukochańszy publicysta polski
5. Dzieje grzechu „Nowej gazety“
6. Restrykcja do powyższego artykułu
7. Przygrywka poselska na fujarce Dmowskiego
8. Obecna sytuacja polityczna
9. La chambre introuvable
10. Zarathustra-Nietzsche
11. Epizod z wojny 1831 roku
12. W obronie fanatyków
13. Nieuchwytnie
14. Na cmentarzu
15. Podśłuchane rozmowy
16. Od redakcji.

Pierwszorządne Kaucjonowane
Warszawa, Włodzimierska 19.

Biuro Nauczycielskie Z. Jasińskiej.

Przyszłych prenumeratorów upraszamy o odczytanie wskazań
„Od Administracji”, umieszczonych w końcu numeru.

Reprodukcje obrazów i rzeźb,
Karty pocztowe,
Passe-partout i
Fantazyjne ramy

POLECAJĄ:

HENRYK ROTSZTAT i S^{KA}

Marszałkowska 137 — I-e piętro.

TELEFON 168-07.

Ukazał się № 46 pisma

„Myśl Niepodległa”

wychodzącego 3 razy na miesiąc
dekadami.

Przedpłata w Warszawie:

Rocznie Rb. 8
Półrocznie „ 4
Kwartalnie „ 2

Cena oddzielnego zeszytu 25 kop.
W Królestwie Polskiem, w Ce-
sarstwie i zagranicą

Rocznie Rb. 10
Półrocznie „ 5
Kwartalnie „ 2,50

Redakcja: Marszałkowska № 48.

Redaktor i wydawca

Andrzej Niemojewski.

„STER”

Organ równouprawnienia kobiet.

Wychodzi w zeszytach raz
na miesiąc.

Warunki przedpłaty:
w Warszawie:

Rocznie Rb. 4
Półrocznie „ 2
Kwartalnie „ 1

Adres Redakcji: **Boduena 2**

Redaktorka: **P. Kuczalska-
Reinschmid.** Wydawczynie:
**J. Bojanowska, P. Kuczalska-
Reinschmid.**

„SPOŁECZEŃSTWO”

Tygodnik naukowo-literacki, spo-
łeczny i polityczny.

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rb. 7.60
Kwartalnie „ 1.90

Z przesyłką pocztową:

Rocznie Rb. 9.—
Kwartalnie „ 2.25

Redakcja i Administracja

Żórawia 29.

Z dniem 1 grudnia r. b.
wychodzić zacznie w Paryżu

„Panteon”

miesięcznik naukowo-społeczny
i literacki.

Warunki prenumeraty:

Rocznie Rb. 6.— (15 fr. 60 ct.)
Półrocz. „ 3.— (7 fr. 80 ct.)
Kwartaln. „ 1.50 (3 fr. 90 ct.)

Cena oddzielnego zeszytu 60 k.
(1 fr. 60 ct.)

Adres redakcji i administracji
4 rue Lhomond V arr. Paris.

Redaktor i wydawca

Józef Wascercug.

*Miesięcznik, poświęcony
sprawom społecznym, nauce
i sztuce*

„Krytyka”

pod redakcją

W. FELDMANA.

Koszta w Warszawie:

Półrocznie Rb. 3.—
Kwartalnie „ 1.50

Adres redakcji:

Kraków, Stachowskiego 14.

Miesięcznik społeczny, literacki
i naukowy

„KULTURA”

Wyszedł z druku № 1.

Rocznie Rb. 6.—
Półrocznie „ 3.—
Kwartalnie „ 1.50

Z przesyłką:

Rocznie Rb. 8.—
Półrocznie „ 4.—
Kwartalnie „ 2.—

Redakcja: **Wspólna 49.**

Redaktor: **Zenon Piętkiewicz.**

Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI i NAUKOWY.

DEWIZA: „Sercem gryzę”
Słowacki.



POD REDAKCJĄ **Leo Belmonta.**

P. 2641.

Przedpłata z dodatkiem wynosi:
w Warszawie z odnośnieniem, na pro-
wincji i w Cesarstwie z przesyłką;
kwartalnie 1 rub.
półrocznie 2 „
rocznie 4 „
miesięcznie w Administracji 35 kop.

Numer pojedynczy 10 kop.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Marszałkowska 77 m. 17.
Telefon № 118-98.

Administracja otwarta od 12 - 2 i od 4 - 6.
Redakcja w Poniedz. i Piątek od 4 - 6.

Cena ogłoszeń:

Za wiersz petitowy strona I 50 kop.
„ „ „ „ IV 30 „
Reklamowa (przed tekstem) . 40 „
Środkowe 20 „

Uwaga, Zagraniczni abonenci dopła-
cają 1 r. 20 k. rocznie.
Zmiana adresu kop. 20.

Motto.

Przed waszych własnych serc ideały
Powlokę w hańbie żywot wasz cały:
I tę dobytku świetność pozorną,
I tę nędzarzą pychę potworną,

I to wielbienie ciela złotego,
I fałszowanie słowa Bożego.

Leonard Sowiński.



Wolne słowo!

Jest-li ten tytuł bolesną ironią plujących krwią ust suchotnika, niepewnego, czy jutra doczeka?...

Czy bezczelnem oszustwem dziennikarskiego kramarza, który znalazł krzykliwy wabik dla swojego straganu?...

Jest może pierwszym.

Nie jest stanowczo drugim.

Powiadam wam to odrazu, aby was nie oszukać nawet na cienkość włosa — po-
wiadam wam:

„Wolne słowo“ *chce* być *wolnem* słowem, ale jeszcze być niem *nie może*.

„Wolne słowo“ jest tytułem eufonicznym rozkochanego w pięknych snach pisa-
rza, jest grandilokwencją redaktorską.

Pismo moje będzie tylko *względnie* słowem wolnem.

A nie dlatego jeno, że absolutna wolność słowa jest społeczną niemożliwością.

Bezwzględnie wolne słowo — jest częstokroć rozpustą pióra lub języka, jest at-
mosferą trującą, w której bezwstyd robi interesy na bezwstydie, jest policzkiem, wy-
mierzonym moralności, jest podkopem pod porządek współzycia, jest błogosławień-
stwem wszelkiego rozboju, poklaskiem dla mętów społecznych, pobudką nikczemną
do pogromów, jest tanim popisem szarlatanów, albo tańcem epileptycznym szaleńców,
jest dzieckiem potwarzy i szantażu.

Nie, *takiego* wolnego słowa ja nie chcę dla innych i nie żądam dla siebie.

Ja nie chcę *swawoli* słowa, choćby mi ją ktoś podarować chciał!.. Przed *taką*
„wolnością“ słowa uczciwy pisarz winien obronić swoje społeczeństwo, z kądkolwiek
mu ona zagraża.

Ale i wolne słowo w innym stylu, prawdziwie wolne, szlachetne, ludzkie *wolne*
słowo — w dzisiejszych warunkach jest niemożliwością.

A że jest niemożliwością — jam tutaj winien tyle, co i każdy bezsilny, kto tego
wolnego słowa nie umiał zdobyć dla siebie. Zaś podwójnie winien jest każdy, co
słowo w okresie niewoli upodlił i kładł na nie z dobrą wolą pacholka więzy odwew-

nał, gdy z zewnątrz skuwala je inna, sroga i zimna ręka — ręka cenzury prewencyjnej.

Powiadam: *dziś* jest niemożliwym wolne słowo, bo rozkwit jego wymaga pewnych warunków, które dopiero rodzą się w męce...

Niema wolnego słowa tam, gdzie nie stworzono jeszcze w Izbie prawodawczej prawa prasowego, które powiada pisarzowi wyraźnie: „dotąd pójdziesz, a nie dalej“, które zapewnia redaktorowi i wydawcy i autorowi, że ich winy ważone będą sumieniem przez sąd.

Niema i nie może być wolnego słowa tam, gdzie uczciwy redaktor nie wie, czego żądają od niego, a posiadając sumienie najczystsze, musi drżeć każdej chwili, że mogą mu zamknąć usta za śmielszy krzyk bólu, uderzyć śmiertelnym ciosem sztrafu po jego ubogiej kieszeni, za łada nieporozumieniem lub nieostrożnem słowem zaproponować mu wyjazd niedobrowolny na wschód lub na zachód, albo mieszkanie za darmo.

Niema i nie może być wolnego słowa tam, gdzie prasa jest tylko tolerowana, jak publiczna dziewczka, z łaski policyi, gdzie ludzie władni, stojący u steru, nie kochają jej i nie szanują, nie współdziałają jej wysiłkom w poszukiwaniu prawdy i nie żądają od niej współdziałania w odsłonięciu ran społecznych, nie boją się, kiedy ta prasa staje się w błoto *przestępnego* milczenia o wielkich krzywdach życia, nie potrafią znieść ze szlachetnym spokojem surowego głosu, bijącego w zamknięte wrota przyszłości, doznają dreszczu na myśl o publicznej kontroli choćby wysokim duchem natchnionego słowa, a nie uczują dreszczu w sumieniu, kładąc pięść na tem słowie, że zaduszą to, co potrzebne jest nam wszystkim — talent mówienia *prawdy* w niemożliwych warunkach.

Tak jest, w takich warunkach wolne słowo jest niemożliwością!

Ale nasze pismo — skromnie a odważnie — pragnie torować drogę temu Wolnemu Słowu, którego imię przyswaja sobie przedwcześnie.

I z ciekawą rezygnacją wyczekiwać będzie ręk, które położą mu kamień śmiertelny na tej drodze.

Ciekawą, czy będą to ręce dostojne, bardziej oczekiwane, mające z woli losu „prawo zwalić kamień milczenia“ ze skał wysokich..

Czy może mniej oczekiwane ręce — towarzyszy zawodu dziennikarskiego, podrzucające kamyki z niskich jam potwarzy.

Albo może poprostu będzie to obojętność ogółu, która nieprzebity mur kamienny postawi przed naszą dobrą wolą...

Ha, zobaczmy!...

Zamiast prospektu.

Na wielkiem cmentarzysku prasy naszej znajdziecie mogiły nieżałowane samobójców anemicznych i niepoświęcone groby skazańców zbyt na swój czas sangwinicznych.

A prócz tych ostatnich są też groby pism, zamordowanych przez obojętność ogółu, który nie ocenił, że warte były żyć dla niego.

Co prawda większość pism naszych (z małej liczby wartościowych) ciągle wychodzi na łożu konania i, jak św. Teresa, „tem umiera, że umrzeć nie może“.

Naogół zaś większość pism naszych, z pozoru o cerze zdrowotnej, żyje „przez środków drastycznych użycie“, podtrzymywana jest sztucznymi sokami kredytu, który traci wciąż, aby nie stracić wszystkiego, i karmi się płacziwą nadzieją odbicia strat poniesionych.

Są też pisma, podtrzymywane przez mecenasów i filantropów *pro honore domus* szanownej grupy, mniej lub więcej nieszanownej partyi, albo interesowanej kliki.

To też konkurencyjna walka pism naszych przypomina „taniec szkieletów“.

* * *

Czy „Wolne Słowo“ pójdzie gnąć na ten cmentarz, czy szczęśliwie ominie jego wrota?

Nowe pismo występuje z pretensjami zuchwałemi i oryginalnemi. Sród zgiełku prasowego targowiska pism — z nielicznemi wyjątkami — bojujących *kłamstwem* „dla idealnych celów dobra społecznego“, nowe pismo zamierza bojować *prawdą*... dla niskich... celów... *osobistej korzyści materialnej*.

Bądźmy cyniczni wobec „idealizmu“ innych, aczkolwiek występujemy z towarem mocno niepopłatnym! Czy był już ktoś, co zrobił interes na prawdzie?!...

Szanse pisma na żywot szczęśliwy są bardzo niepewne. Wie ono, że spotka zjadłą niechęć lub „szlachetne“ przemilczenie ze strony swoich wrogów bezideowych, a zwłaszcza przyjaciół ideowych, uległych żelaznemu prawu konkurencyi, która rozszczepiała u nas prasę, aż zrobiła ją czeredą odosobnionych niewolników każdego cyrkularza, obciążającego ciężar prawa kaprysem, aż rozgryzła nasz słaby postęp i uczyniła go rozsypaną na cztery wiatry niemocą luzaków, boczących się na siebie!

Jeżeli nie podtrzymają nas abonamentem nasi nieprzyjaciele — to zginiemy, bo na przyjaciół nie przywykliśmy rachować!

Pismo rozpoczyna żywot z uczciwie małym kapitałem, powierzonym nam przez naiwną wiarę — taką, jak nasza. Ponieważ prawda po-za-partyjna, po-za-koteryjna i po-za-wzajemnie-protekcyjna, skutkiem długotrwałego wyjścia z obiegu, przestała, zdaje się, być potrzebną naszemu społeczeństwu, pismo nasze nie ma widoków na powodzenie.

Jeżeli mecenasi naszej prasy — abonenci, już popierający ją wspaniałomyślnie kilku kopiejkami dziennie, nie zaryzykują jeszcze kilku kopiejek tygodniowo na taki niepotrzebny papier zadrukowany, z uszczerbkiem dla tylu ważnych potrzeb miłego życia na tym padole wyścigów i kabaretów na opak — to pismo nasze zginie z żalem nielicznej garstki jego czytelników, bez żalu redaktora, który będzie wiedział, że ważył się na brzydką awanturę z najbrzydszą z kochanek — prawdą.

* * *

Ciekawi — bo o życzliwych w takiej „aferze“ trudno — zechcą uwzględnić bezcelność pisarza, który odważył się tylko własnemi pracami zapełnić numer okazowy.

Ten numer jest tylko przygrywką z motywów, które rozwiną się i znajdą uzasadnienie w numerach następnych, a padnie z nich nowe światło na stek nieporozumień, w które uwikłało nas naturalne nieprzygotowanie do wielkiej roboty politycznej, nakazanej przez moment wstrząśnienia.

Ten numer nie wypełnia w najlżejszej części szerokiego programu tygodnika, zamierzającego z czasem objąć prócz aktualnych spraw społecznych *sub specie aeternitatis* różne działy nauki, literatury i sztuki — ale może w momencie prostracyi i apatyi, gdy głowy chylą się, opadają ręce, gdy brak chęci do myślenia, czucia i działania, temperamentowa pobudka pisarza, pochlebiającego sobie, że uprawia „wszystkie rodzaje literatury, prócz nudnego“, będzie mile powitana...

Nie prezentujemy w prospektowym numerze czytelnikowi wartościowych imion przyszłych współpracowników pisma, zapisywanych tak często... tylko w prospektach. Ale jesteśmy dumni ufnością, że znajdą się one niezadługo w sąsiedztwie naszego

czystego imienia, które, jeśli jest czemś obciążone, to najwyżej pomyłkami dobrej wiary. Mogliśmy otrzymać już do 1-go numeru prace ludzi zasłużonych i uczonych, utalentowanych i szlachetnych, ale nie chcieliśmy skorzystać z ich ofiarności wspaniałomyślnej. Bo nas boli i oburza ta myśl, że u nas pisarze zasługi, nauki, talentu, pracują najczęściej darmo lub prawie darmo, że używani są z dyshonorem dla siebie na próżnego wabika wobec mas, odwykłych odróżniać prawdziwą wiedzę od impertynenckiej blagi i szczerzy talentu pisarski od paćkaniny półglówków.

Nie chcieliśmy zaryzykować cudzej pracy — bo mamy prawo darować obojętnym tylko własną. Lepszy odemnie przemówią z kart „Wolnego Słowa“, jeżeli dacie mi możliwość nagradzać ich tak, jak na to zasługują. Bo to jest przesąd, że prawdziwy uczoney i dobry literat żyje tylko z powietrza i że ogół wszystko zrobił, co doń należy, gdy im pozwolił wcześniej umrzeć.

Losy pisma są nie w moich — są w waszych rękach. Od was zależy, co ono wam da. Od was zależy, czy wogóle żyć będzie. Od was, od ilości waszej, zależy, czy zwiększony rozmiar pierwszego numeru, niemożliwy przy znacznych kosztach wobec niezmiernie niskiej ceny, utrzyma się, lub jeszcze rozszerzy. Pamiętajcie, że każdy kupujący dobrą książkę, lub dobre pismo, jest zawsze obdarowanym, niewypłacalnym dłużnikiem autorów, że — ekonomicznie biorąc — tylko masa wypłaca należność i zwraca koszty nakładu. A pozostaje jeszcze dług wdzięczności za każdą myśl pożyteczną, za każde bicie serca, kochającego ludzkość, za każdą wzniosłą chwilę nad kartami księgi, dług, którego nie ureguluje żaden pieniądź...

Pragnęlibyśmy z całej duszy, abyście taki dług z czasem zaciągnęli wobec „Wolnego Słowa“ — dług, którego nie można i nie trzeba regulować — który wypłacamy z kolei wszyscy budowaniem wyższej duszy ludzkiej — na przyszłość...



„La verité est en marche“...
Kłamcy kamienujcie!

NA STRAŻNICY.

Pewnego dnia ja, pisarz, znalazłem się — bez miejsca w prasie.

Pisma, w których pisałem, zostały „wypadkiem“ zamknięte, a do zamkniętych pism — jak dobrze wiecie — pisać nie można.

Są u nas pisma — kloaki, mówiąc ordynarnie, ale trafnie — a w kloakach piszą tylko „ludzie“ odpowiedni.

Są u nas pisma — sklepiki wiktualów i interesy wekslarskie, a progę ich szanujący się pisarz nie przestępuje.

Są u nas pisma — zamknięte towarzystwa adoracji wzajemnej, do których obcy nie ma ochoty pukać...

Są u nas pisma — gdzie stosunki osobiste tak mocno przesłaniają interes społeczny, że pisarz śmiałego zdania nie trafi tam do ładu.

Zgoryczony, przestałem szukać możliwie lepszych pism — zламаłem na pewien czas pióro. Zwłaszcza, że znudziła mnie także już nazbyt częsta praca w niektórych pismach, nad wrotami których znajduje się napis Dantejski:

„Tu niema nadziei... na honorarjum. Kto chce pod firmą naszej redakcyi umierać z głodu, wypiekając wraz z nami zdeprecjonowany chleb duchowy — niech wejdzie“

Ale moja niewypowiedziana prawda rosła we mnie i rozsadała mi piersi. Wy nie wiecie, jaką męką jest nie pisać, gdy posiada się dumne poczucie, iż ma się coś pożytecznego do oddania swojej społeczności.

O! bo ja wiem, że jestem wam potrzebny! Należę bowiem do nielicznej u nas grupy ludzi, którzy zawsze mówią prawdę. Więcej jeszcze — należę do tych, co zgrzytają zębami i krwawymi łzami płaczą rano i wieczór, w południe i nocą, nad sponiewieraną u nas prawdą...

Duszę ją tak długo w sobie — i nie mogę dłużej...

Postanowiłem założyć własne pismo — a jeśli położę na nim napis Dantejski, to tylko dla samego siebie.

Staję „na strażnicy“.

Ile prawdy będę mógł rzucić z niej w wasze serca i mózgi, tyle rzucę. Jeżeli znajdziecie niedomówienia, będziecie czuli zawsze, że nie odemnie zależało mówić pełniej i jaśniej. Jesteśmy wszyscy niewolnikami warunków, ale podłymi niewolnikami są tylko ci, co pomnażają moc kajdanów zewnętrznych, co noszą je miłośnicie wewnątrz duszy własnej, co na kajdanach robią interesy, co nie wykorzystają do ostatniego milimetra całej szczipłej wolnej przestrzeni, co tchórzliwie chowają się za innych, co gniją w kłamstwie, jak na wygodnym łożu rozpusty...

Powiadają u nas: niewola jest nieszczęściem!

Ale niedopowiadają nigdy — dlaczego.

Zatem wiedźcie — i to jest pierwsza prawda, którą wam mówię:

Niewola jest nieszczęściem dlatego, że znikczemnia, że całe życie czyni kłamstwem.

Myśmy ubabrali się w tem kłamstwie, jak w gnojowisku...

Oto ze szlachetnej idei patryjotyzmu zrobiliśmy blichtr i butę, obludę i interes, wyrwaliśmy z ust największego narodowego poety chwili obecnej bolesny okrzyk piekającej wzgardy: „W twarz wam pluje litość moja!“.

Oto z tęczowego marzenia tłumów o szlachetniejszym ustroju społecznym bandytyzm zrobił sobie etykietę dla swych rozbojów.

Oto z miasta, pełnego analfabetów, z miasta, gdzie lud i tak zwana inteligencja co trzy zdania używa słów: „psiakrew“ i „cholera“, nasi posłowie zawieźli do Petersburga tylko „angielski“ takt parlamentarny Dmowskiego, kauzyperdykę suchą Nowodworskiego, milczenie pana Tyszkiewicza.

Było to kłamstwo!

Nie zawieźli krzyku rozpacz, jadu żrących łez, naszych targań i miotań się, rzetelnego obrazu naszych walk i chorób socjalnych, widoku wrzodów, wołających o konieczności leczenia — zawieźli kłamliwą chromolitografię „grzecznego kraju przywiślańskiego“.

A tu w domu nasz ubogi postępek, szlachetny nędzarz, nad którego losem boleją krwawo wszyscy prawi jego synowie, postępek ludzi uczonych, zapominanych i mrących głodem, dzieł wartościowych, nie mających pokupu, uczciwych i utalentowanych pisarzy, posiadających ledwie garść czytelników, każdej myśli wyższej, prześladowanej zajadłe przez swoich, paru pism postępowych, którym grunt usuwa się z pod stóp — ten postępek dostawał oblędu, Kempnerowskiej „mania grandiosa“, przez klótniwe swaty sjonistyczne żenił się „bogato“ z suchotniczą córką chasyda, udawał siłę polityczną, kulturalną, liczebną, zwodził kraj, zwodził żydów, zwodził wszystkich — chciał oszukać samego siebie!

Kłamstwa! — kłamstwa bez miary i bez liczby! — Chorobo społeczna!... będę obnażał cię bez litości.

Sercem, które pęka z bólu, zerwę z każdego fałszu butaforską maskę prawdy...

Hola! wy, wszyscy, co kłamstwem żyjecie i umieracie z kłamstwem na ustach!

Podnieście kamienie z bruku — gotujcie się miotać je we mnie...

Bo będę wam mówił prawdę!

Najukochańszy publicysta polski.

...A pewnego dnia mróz mnie przeszedł po skórze.

Bo pomyślałem ze zgrozą, że nie mamy w tej chwili ani jednego ukochanego publicysty.

To znaczy, że niema pióra, na którego wyrok, w sprawach wątpliwych, oczekiwałaby opinia publiczna ze drżeniem serdecznym. To znaczy, że istnieje farba drukarska tej lub owej wartości, ale po za nią nikt nie czuje pulsującej męką duszy—człowieka. To znaczy, że w myśli ogółu istnieją artykuły, pisane jedną ręką, ale niema ręki, którą młodość pragnęłaby ucałować ze czcią, niema czoła, które uwieńczyłyby kobiety, niema postaci, na którą starość, schodząc do grobu, obejrzałaby się z błogosławieństwem. Są jeszcze pióra interesujące—niema indywidualności drogich ogółowi, wyższych po nad prawdy partyjne tak, jak żywa i płomienna dusza wyższą jest po nad zimne i przeciętne uogólnienie.

Niema kochanego publicysty.

Kochano kiedyś świetnego kronikarza Prusa. Patrzone miłośnicie na jego twarz pogodną, lekką zmarszczką rysujące się czoło, uśmiechnięte dobroduszenie usta, oko błyszczące wstrzymaną łzą gorącą. Ale czas chmurniał i poważniał. Chmuryło się i poważniało oblicze Prusa. Czas chmurniał jeszcze, wypełniał się żrącymi łzami i trucizną wściekłości. Prus już nie mógł za nim wydażyć. Obecnie udziela jeszcze cichym głosem korepetycji zdrowego rozsądku ogółowi—czytany w wązkim kole, słuchany i słyszany mało. O wybornem sercu autora „Placówki” zapomniano bodaj zupełnie. Nasz ogół ma haniebnie złą pamięć. To też płaską jego duszyczkę najlepiej rozumiał ów świstek brukowy, który przypomina nam przez sto dni z rzędu, że... „wczoraj pękano ze śmiechu na doskonałej farsie „Ani krzty myśli“, w sali wypełnionej po brzegi“.

Ongi na szarem niebie publicystyki naszej, błyskawicami stylu zajaśniał Świętochowski. Nienawidzili go wówczas jedni tak mocno, że w żadnej modlitwie nie pomijali okazyi zalecenia jego duszy piekłu. Za to inni kochali go potężnie... Byli gotowi w ogień iść na jego słowo. Należałem do tej generacji młodych. Na przedstawieniu „Helwii“ chciałem

skakać z paradyżu na scenę, ale... autor, na moje szczęście, nie pokazał się. O, to już było bardzo dawno!

Zmieniło się od tego czasu wiele. Nie analizując w tej chwili wartości rzadkich, codwutygodniowych artykułów Świętochowskiego, ani nieporozumień chłodnego filozofa z gorącym czasem, ani wyższości rozważnego myśliciela nad szaleństwami czasu, mam prawo skonstatować, że dostojny pisarz polski jeszcze świeci, ale już nie rozpala. Przed trybuną „Prawdy“ skupiają się na jego głos ledwie garstki ludzkie. Tu nie chodzi o to, kto winien, on, czy masy, czy nikt nie *winien*—zaznaczam fakt, fakt, który posiada już swoją historię...

W dni wyborów niedawno, niezręczne ręce skusiły Łódź dumnego „samotnika“—jak ongi pięknie nazwała autora „Dumań pesymisty“, genialna Konopnicka—i rzuciły tę Łódź na skały wyborczej Charybdy, oblepione plakatami: „Baczność! żydzi zwyciężają!“. Herbowny klejnot naszej literatury dał się unieść i wystawił się na bryzgi powszechnego błota walk wyborczych, które na krótko przedtem wyklął tak dosadnie. Łódź jego rozbiła się—bo musiała się rozbić. Gdyby Świętochowski był politykiem, zgadłby to odrazu.

Nie zarumieniły się bynajmniej mury Warszawy, że Świętochowskiego nie obrano, jak tego żądał od nich p. Bukowiński. Bo musiałyby się zarumienić znacznie wcześniej, wtedy, gdy niedorady polityczne stawiały jego kandydaturę na przepadłe, nie w jego okręgu—gdy ją odważyły się stawiać w okręgu, gdzie bodaj 80% wyborców nie słyszało jego imienia, nie widziało jego dzieł na oczy, a olbrzymia ilość niemal nie mówi jego językiem! Z gorzką ironią konstatowałem, że „postępowi demokraci“—wyborcy Świętochowskiego, w masie nie umieją jego imienia na pamięć. Ba, nawet tak zwana „inteligencja“ burżuazyjna zerkala na niego chłodnym oczkiem ciekawości, gdy raz jedyny raczył zejść z obłoków i ukazać się swoim wyborcom na wiecu.

Łódź Świętochowskiego rozbiła się. On sam ocalał. Uratowały go mądre i dobre bogi dla ważnych robót kulturalnych. I może teraz już wie, że jeśli niefortunne było hasło Wielopolskiego: „Dla Polaków można coś zrobić, ale—z Polakami nigdy“, to stokroć fałszywszem, zawodniejszem, zgubniejszem dla *wszystkich* obywateli tej ziemi, rozwie-

rającem jej bolesne przepaści społeczne, jest inne hasło: „Dla Polaków można coś zrobić, ale prawie bez Polaków, z samymi niemal Żydami“. Polityka nie była nigdy przez to mądrą, że chciała być antynaturalną. Była posągami bez podstawy.

Obawiam się, że ci Żydzi, którzy pomiędzy swojemi czterema klepkami wy-czuwają klekot tylko jednego słowa: „Antysemityzm!“ nie rozumieją, że bronie tu także Żydów przed najgorszą z polityk, bo polityką nonsensów i rozczarowań. Lepsza—żadna. Boję się też trochę p. Ulanowskiego, który kładzie się w skrusze na kusych, acz haftowanych przez bankierów dywanach „Nowej Gazyty“ i ogłasza, że to partye skrajne tak się przejęły skruchą, że wdzięczne są Świętochowskiemu, iż „spowiadał się za nie z grzechów“—ogłasza, że Świętochowski jest prorokiem. Mądry Świętochowski zapewne sam się uśmieł z tego...

A może przypuszczacie, że p. Dmowski jest ukochanym publicystą narodowej demokracji? Nie! nasz „Times“—„Gazeta codzienna“ czytana jest głównie przez ludzi w rękawiczkach, przy czarnej kawie w cukierniach. Raczej Nowodworskiego kochano, gdy ciepło mówił i mężnie rozstawał nogi—kochano w miodowe miesiące konstytucji. Lecz Nowodworski nie jest publicystą; posiada ostrożność niezapisywania swoich mów. Dmowski jest człowiekiem Narodowej Demokracji od święta. Słuchany bywa w nastroju uroczystym. Ale słucha go szacunek, nie miłość. On sam jest zbyt zimny i zanadto robi twardość, aby „zniżał się“ do budzenia miłości.

Szanują jego „mądrość“ najbardziej ci, którzy wierzą w nieuleczalną słabość własnych głów. Słyszeliśmy wszyscy na ostatnim wiecu, jak po mowie Dmowskiego ktoś wyraził wrażenie zebranych dosłownie następującym głośnym bełkotem: „Podziękujmy panu Dmowskiemu, że... że... wyraził nasze uczucia zgodnie... z uczuciem... naszego narodowego poczucia. Czolem!“ Tak mówi już chyba tylko wielki lęk szacunku przed piramidą rozumu politycznego. Tak nie mówi zwyczajna, serdeczna miłość...

Artykuły p. Dmowskiego dla masy narodowo-demokratycznej „*græca sunt... non leguntur*“. Masa myśli, że robią nad niemi studja wysocy kapłani narodowo-demokratyczni. A ci chowają w sekrecie przed samymi sobą, że... ostatecznie p. Dmowski gra tylko rolę opatrnościowego męża—bo posiada większą od

innych zręczność zakrywania przed naiwnością tragicznej prawdy, że opatrnościowy mąż u nas nie urodził się jeszcze. P. Dmowski jest tylko napisaniem tajemniczymi (dla narodowych demokratów) znakami świadectwem, że naród długo—długo—nie myślał politycznie. Jeżeli p. Dmowski, po wykręcaniu się we dnie na politycznych piętach, w ciche noce zdaje sobie z tego sprawę, to musi być głęboko nieszczęśliwym człowiekiem—i bezlitosność mojej krytyki może jest wielkim grzechem wobec męki, która posiada moc maskowania małości i bezradności własnej, gwoili zaufaniu ty-sięcy.

Czy dowodzić Wam, że p. Straszewicz nie jest ukochanym publicystą? Na pochyłe drzewo zawsze.. *idealistycznej* ugody *realistów*—skakało tyle kóz, że nie mam ochoty do tak łatwych skoków, zwłaszcza, że popisywał się niemi u nas nader często pseudo-patryotyzm. Więc zaznaczając tylko ze złośliwą przesadą, że każdy robi taką politykę, na jaką zasługuje, i z współczuciem artysty, że polityka realistyczna robi się w wąskiej, zimnej i ciasnej sieni, przed bramą zapartą (tak ją sobie wyobrażam)—konstatuję, że w takich warunkach nie rodzi się miłość dla prowodyrów. Gdybyśmy krzyknęli głośno: „narodowi potrzeba powietrza“, a p. Straszewicz z żarem dowiódł nam, że żądanie to znajduje się w wyraźnej sprzeczności z takim a takim artykułem „Swoda zakonow“, to mógłby liczyć na podziw dla swojej precyzji prawniczej, ale nie na miłość. Najroz-sądniejszych kodyfikatorów niewoli nie lubi się... Można im winszować odwagi narażania się na niepopularność, ale pozostanie kwestją, czy mają najlepszy gust w wyborze drogi po temu,—gdy jest tyle innych, depopularyzujących pięknie, —gdy jest zwłaszcza tyle innych, na których pierś oddycha szerzej, a oko śmieiej patrzy w niebezpieczną przyszłość. Na tych drogach napisane jest: jeszcze żadne złe prawo nie zmieniło się i nie ustąpiło przed tymi, który powiadają: „takie jest prawo“—i nie dodają nic więcej. Znać prawa i budować je—są to rzeczy bardzo różne.

A Rabski? Rabski?! Rabski?!!

Rabski więcej *był*, niż jest jeszcze. Rabski *był* najwytworniejszym publicystą w świecie... „Kuryera Warszawskiego“. Śród piaszczystych alei—szpał tego ogrodu—pisma, tuż obok sąsiadujących ze sobą gorących zachwyków nad wczoraj-

szą zabawą na Dynasach i suchych informacjach o wczorajszych wyrokach, wykonanych w cytadeli,—wznoszono estradę dla p. Rabskiego, woskowano podłogę i „znakomity esteta“ wykonywał na niej zręczne piruety i pokazywał swoje wytworne maniery. Czasami tylko zapominał się i kopnął kogoś myślą w powietrze. Wówczas radzono o obdarzeniu p. Rabskiego złotem piórem. Wówczas on sam myślał, że najwyższy honor, jakiego człowiek może doczekać na tym padole, jest polemika z nim, p. Rabskim.

Tempi passati... Gdyby p. Rabski nie posiadał wdzięcznej pamięci, znudziłby się sobą samym, jak znudzili się nim inni. Pewnego dnia czas zdmuchnął z płaszczyzny życia płaski wpływ wytwornego p. Rabskiego. Serca, które go kochały, zwiędły na skinienie złej wróżki.

Przyszli Kempnerowie z pewną siebie, acz nieco „Szpitalną“ miną i zameldowali się w lewej oficynie mrzonkarstwa politycznego^{*)}, gdzie postępowa kultura nie zdążyła jeszcze zbudować podłóg pod nogi i dachów nad głowami. Ale ofiarą burżuazji asymilacyjnej, herbu „Kasa ogniotrwała“, trzymając się za brzuch z bólesci, rozwiązała nieco trzosa i wyposażyła ich w wielkookie hamaki i dziurawe parasole, prawie przyzwoite, mówiąc: „resztę dziur zrobicie sami!“. PP. Kempnerowie kochają publicystykę, ale czy ona ich kocha? (Sie war liebenswürdig etc...). Niedawno p. St. A. K. opowiadał nam, co myśli o procesie Hardena „cały pociąg na drodze z Monachium do Berlina“. Ponieważ pociągi niemieckie zazwyczaj nie mają kurytarzy, więc wchodzić do każdego przedziału podczas jazdy, sposobem konduktorsko-germańskim, jest niebezpiecznym poświęceniem dla dobra ogółu. Pomimo to p. Kempner, zdaje się, nie jest ukochanym publicystą Warszawy.

Może jest nim jakiś sprytny i cięty anonim-publicysta? Nie! nie! anonimy trudno kochać i szanować. Jeżeli posiadają indywidualność, to zapewne mocno popękaną i odrutowaną, której nie chcą narażać na ogniową próbę opinii, rzucającej imiona na złotą szalę, aby zbadać, czy wydają *czysty* dźwięk!..

.....

*) W prawej mieszkają endecy, od frontu—realiści, w suterynach—skrajne partye, o ile nie są przeniesione do ratusza i t. p.

Tak przesuwają się w myśli mojej te i inne imiona, nieraz godne, których charakterystykę podam kiedyindziej, a Klio prasy warszawskiej odpowiadała mi szyderczo: „Nie, to nie oni“.

I myślałem już, że nie mamy wcale ukochanego publicysty.

Ale z mrocznej głębi Matejkowskiego obrazu skinęła na mnie twarz Stańczyka i gorzko-złośliwe usta wyrzekły:

„Jest jeden—Jeleński!“

I olśniła mnie światłość.

Janie Jeleński! tak jest! tyś jest jedynym ukochanym publicystą polskim w dobie obecnej. Który publicysta dostał więcej bilecików miłosnych od „narodu“? Któremu tak często pasterze mas, duchowni, kładli błogosławiący znak krzyża na czole? Przez długie lata śledzę twój słodki romans z ogółem, w odpowiedziach od redakcji „Roli“; widziałem, jak miłość do ciebie, niewinnie-wstydliva w początku a rozpustnie-bezwstydną w poczęciu, rośnie i jak rosną twoje kamienice. Tyś jest mężem wybranym! Ty wiedziałeś, że wolno zlekceważyć tradycje Butrymowiczów i Czackich w Polsce. Wiedziałeś, że „nie wolno ubierać się w ornat, nie będąc księdzem“, ale wolno, nie będąc policyantem, ubierać się w mundur... stróża porządku publicznego „na posterunku“. Tyś jest mędrce! Boś był jedynym człowiekiem w Polsce, który potrafił zrobić interes na żydach! Zaprawiłeś się tak dalece w pisaniu o żydach, że twoja nienawiść dla nich stała się ostatnio prawie szczerą i prawie bezinteresowną.

Co zrobiłeś, Janie Jeleński?! Zrobiłeś to, żeś został najukochańszym publicystą polskim! Nie miałeś litości... dla swoich!

Zrobiłeś coś gorszego! Widzę nieraz, jako badacz skrzętny, jak w twoich artykułach błąka się wśród mnóstwa monet fałszywych prawdziwy pieniądz—acz tylko zwyczajne miedziane trzy grosze prawdy—ale prześmierzły one tak w towarzystwie fałszu, że nie odróżni ich już węch przeciętny, że stroni od nich, że ich nie rozpozna, nie wie o nich. A to jest bardzo źle w tej naszej atmosferze chorowitej, w której postęp nie miał odwagi mówić tylko jednym *żydom* prawdy w oczy, nawet za dwa grosze—za jeden grosz—i milczeniem aprobował zgnilizny wyżyn i pomroki nizin. Surowy głos Jezajasza, przeklinającego wady swojego narodu, umilkł przed wiekami—i naród żydowski mógł karleć spokojnie przez wieki. Swoi byli ślepi; obcy, wi-

dzący, nie kochali żydów, kochali swoich tylko, więc tylko swoich bili różgami miłości—satyry.

Jeżeli specyficzne wady każdego narodu, każdej rasy, wymagają swojego „anty“ w celach poprawy, jeśli „antysemityzm“ pojmować nie w sensie podłego zaprzeczania ludziom praw do ludzkiego życia, jeśli rozumieć go w sensie zbawczej trucizny przeciw zadawnionym chorobom fanatycznego semickiego ducha odrębności i nowonabywanym wadom żydowskim, to ty, Janie Jeleński, stanąłeś, jako zapora przeciw uzdrowieniu żydów: Tobie udało się zohydzić nawet... antysemityzm!...

Dzieje grzechu „Nowej Gazety“.

Genjalny Żeromski drukuje w „Nowej Gazecie“ powieść „Dzieje grzechu“. A ile razy ten tytuł widzę, zdaje mi się, że powinien on być napisany na czele pisma, w nagłówku.

„Nowa gazeta“ — to dzieje grzechów naszego postępu, odkąd stał się postępem politykującym. O ile człowiek może być winien, że nie przerasta przyrodzonej swojej miary, o tyle zawinił tu p. St. Kempner. Człowiek zdolny, uczciwy i niezmiernie pracowity, który mógłby prowadzić porządnie dużą „Gazetę handlową“, uparł się prowadzić maluczką politycznie i moralnie „Nową gazetę“. W krótkim czasie zrobił z naszego postępu, miast organizmu, który rośnie — topielca.

Postęp powinien mieć szaty nieskalane nikczemną małością.

Pobity na wyborach postęp polski „Nowej gazety“, pierwszy, ze skwapliwością złośliwej uciechy konkurencyjnego sklepiu, doniósł depeszą własnego korespondenta, że — *polskim* posłom (wszystko jedno jakim!) motłoch Tawriczeskiej i Troickiej ulicy, urządził burdę, gdy na podobne burdy motłochu domowego, względem siebie, miał wcześniej słuszne wyrzuty. Więc miał zgniłą radość w małych ślepkach w chwili, gdy winien był mieć na czele bolesną lunę wstydu — jak kraj był szeroki. To było malutkie — powiadam wam to ja, którego siedem niezgłębionych przepaści dzieli od narodowej demokracji!

Postęp polski powinien mieć rozum jasny i charakter mocny.

Postęp „Nowej gazety“, pochwaliwszy wszystkie ruchy „Koła polskiego“ w drugiej Dumie, pochwaliwszy siebie, że był belfrem narodowej demokracji, — następnie w godzinie narodowego nieszczęścia i poniżenia, gdy wydarto z polskiego koła $\frac{2}{3}$ szprych, zostawiono tylko 11, — pierwszy rzucił się na pobitych, oskarżył ich, że narazili się rządowi przewagą głosów swoich, gdy oni raz jeden tylko użyli tej przewagi, aby... powiększyć wojsko! Uczynił tak, bo pobitych bić łatwo, a z silnymi się nie zadziera...

Postęp polski powinien myśleć prędko.

Postęp „Nowej gazety“ sto razy spóźniał się z decyzją i z oświeceniem wypadków — po całych miesiącach ledwie poczynął domyslać się w tonie przyzwoitym, w artykułach p. Goreckiego, *via* Paryż—Warszawa, jakie były błędy myślowe narodowej demokracji.

Postęp polski powinien posiadać moc przekonywania i takt polityczny.

Czy „Nowa gazeta“ posiadała je? — odpowiedźcie wy, masy maluczkich, ludzie dobrej woli, odepchnięci w braku przystani na złudne gościńce narodowo-demokratycznego bजारstwa, odpowiedźcie wy, polscy robotnicy, sto razy obrażeni w waszych najdroższych uczuciach, nie zyskani nigdy, nie upomnieni nigdy w godzinie właściwej i właściwym tonem surowej miłości, gdy chwilami lzy rozpaczły ślepiły wasze oczy i głodowy szal wolności pchał was na manowce!

Postęp polski powinien umieć liczyć.

Dyplomatyżujący postęp „Nowej gazety“ doprowadził do tego, że malutki sjonizm, daleki od masy chasydzkiej i otwarcie wrogi polskiej demokracji postępowej, wziął zręcznym przetargiem ilość głosów na listach wyborczych, przewyższającą proporcję żydów — mieszkańców Warszawy. Doprowadził do tego, że niejaki Szaja Rozenbojm wziął przeszło cztery tysiące głosów, *t. j. więcej od każdego z postępowych kandydatów na posłów*, więcej od Świętochowskiego i Krzywickiego! A tak tedy wyszarzał on dumne płaszcze świetnego publicysty polskiego i uczonego socjologa — polaka! Był to dziedziczny rezultat partackiej roboty Kempneryanów, jeszcze z pierwszego roku wyborów.

Postęp polski powinien posiadać sojuszników, co go szanują i idą szczerze z nim razem.

Postęp „Nowej gazety“ szedł ręką w rękę z ludźmi, którzy jednocześnie w żargonowych gazetach oświadczały mu, że

jest kłamcą, zapewniali, że idą z nim niechętnie, li tylko dla własnego interesu, pluli mu w twarz gorzej, niż „Goniec” i tak samo, jak „Rola”—i chował wstydlwie twarz oplutą, przemilczając, że go zelżono. Bo nie miał czystego sumienia, gdyż łączący—nieraz mieli słuszne prawo wytknąć mu jego stanowisko na dwóch stołkach.

Postęp polski powinien posiadać zdanie szczerze w kwestyi żydowskiej.

Postęp „Nowej gazety” fikał kożły na trzęsawisku tej kwestyi, przemilczał ją, bądź wykręcał się sianem, oświadczał przez usta p. Goreckiego, że go „*drugi*” język żydów nie obchodzi, jakby nie wiedział, że tu chodzi o to, który język ma być „*drugim*”—i jakie prawa polityczno-kulturalne ma posiadać żargon, ten wedle syonistów — *pierwszy* język przyszłości żydowskiej, a może i jedyny. Uznawał jednak *pierwszeństwo* praw tego drugiego języka, gdy otrzymywał ogłoszenia o „Akajde” na czoło „Nowej gazety”—i wtedy przestawał się wstydzić żargonu!

Postęp polski powinien zjednywać sobie czytelników rdzennie polskich, prócz żydów asymilowanych.

Postęp „Nowej gazety” ma widać nieśmiertelnych czytelników rdzennie polskich, bo żaden z nich nie umarł dotąd i biedny p. Kempner zarządził u siebie przedruk rubryki „pogrzebów chrześcijań-

skich”, aby mieć umarłych na „ski”. Nie! myślę się.. Opowiadają w kołach dobrze poinformowanych, że współpracownicy „Nowej gazety” zapili ucztą z szampanem cudowny wypadek, gdy do redakcyi przyniesiono pierwszy nekrolog na „ski”^{*)}

Postęp polski stanowczo nie powinien być antysemicki — i nie wstydzić się nazwisk publicystów polskich pochodzenia semickiego.

Postęp „Nowej gazety”—oczyścił pismo. Nie plamiał go żadne „bergi” i „many”. Żydowskie nazwiska obrzezano do inicjałów. Dyspensę otrzymał jeden p. Lewkowicz, jako kończący się na „icz”.

Postęp polski powinien posiadać rzetelną moc wymowy.

W „Nowej gazecie” bodaj jedyny tylko Lorentowicz posiada temperament pisarski, ale ten pisze głównie o teatrze i jest tak rozdrażniony przez swoich sąsiadów na ugorach „Nowej gazety”, że mimo przyjemne z natury usposobienie straszliwie gniewa się na byle głupstwo teatralne.

Postęp polsko-demokratyczny powinien posiadać temperament bojowy talentu.

A bracia sjamscy „Nowej gazety”, burzą się wprawdzie — ale tylko tak, jak gdyby posiadali w sereach i mózgach budki z wodą sodową!...

Leo Belmont.

^{*)} Przesada! Były tylko pączki. (Przyp. red.)

Restrykeja do powyższego artykułu.

Ten ryczałtowy sąd stosuje się przeważnie do jednej strony działalności „Nowej Gazety” — do politycznej, stosuje się do niej nie w całości, ale do jej tonacyi głównych, które, jak pokażemy później, wyszły i musiały wyjść na złe naszej postępowej myśli politycznej.

Zresztą nie zawiniła tu sama „Nowa Gazeta”. Wszystkie okoliczności bolesne i błędy tragiczne nieprzygotowanego czasu są współwinnymi. Odbijając się od porosłych chwiejnemi trzcinami wybrzeży narodowo-demokratycznej polityki, postępowo-demokratyczna łódź, w ciężkiej godzinie burzy socyalnej, oraz pod nieprzyjaznemi wiatrami z północy, żeglowała zawzięcie... ku mieliznom. Błąd p. Kempnera był sztukowaną podszewką elegancko łatanego fraka narodowej demokracji, dopasowanego przez przerażenie do... spodni naszych san-kiulotów.

Ryczałtowy sąd — nie dotyka i nie obejmuje nigdy szczegółów. Ma on na celu tylko mocne podkreślenie rzeczy, które winny zwrócić uwagę. Przyjęty bezkrytycznie, bez tej restrykcyi, wydałby się niesprawiedliwym.

Nie mieliśmy więc zamiaru — ubliżyć tym piórom, które ozdobiły nieraz szpalty „Nowej Gazety” i zyskały uznanie słuszne, lub niesłusznie nie zyskały uznania. Nie

mieliśmy zamiaru zamykać oczu na rosnącą wartość dodatków literackich „Nowej Gazety”. Jeżeli komu, to nam mocno leży na sercu, aby mównica postępową zyskiwała posłuch. Pragniemy właśnie, aby nie kompromitowała się nigdy i niczem, aby nie zrażała słuchaczy, co szli już ku niej wczoraj, co będą gotowi przyjść jutro...

Nie mieliśmy bynajmniej zamiaru naszą krytyką budzić radość z cudzej krzywdy — tak zwaną „*Schadenfreunde*” — tych licznych, których nie krytykujemy *imiennie*, bo nie warto zapisywać ich imion.

Jakiegokolwiek są braki „Nowej Gazety” — a jej najlepsi pracownicy może najlepiej wiedzą, że są duże — nie mieliśmy zamiaru bynajmniej twierdzić, że spotykaliśmy w naszej codziennej prasie gdzieindziej *więcej* sumienności, zdolności pisarskich i myśli współczesnej.

A już najmniej mieliśmy zamiar — gdyby chodziło o wybór — przełożyć po nad placówkę, którą zmuszeni jesteśmy tak ostro krytykować, troglodytyzm umysłowy jednych pism naszych, torreadoryzm rzeźniczy drugich, elegancję drących się rękawiczek — trzecich, ubraną w togi Katońskie gonitwę za skandalem — czwartych, wyschnięcie mlecza ideowego — piątych, „luli-luli, senny mój aniołku” szóstych itd. itd..

My tylko sądzimy, że... kulejący *postęp* „Nowej Gazety” domagał się w pewnych chwilach gwałtownego oddania do... kliniki ortopedycznej!

Przygrywka poselska na fujarce Dmowskiego.

(Interview wymarzony).

Poszedłem do Niego we śnie, ponieważ on przedstawia mnie na jawie, jako jedną z drobinek społeczności warszawsko-polskiej.

Zadałem mu pytanie ze zwykłą skromnością interviewer'a:

— Jakie są „zadania polityczne naszego przedstawicielstwa”? Mów Pan. Zapisuję... I wyciągnąłem notatnik.

Odpowiedział mi:

— Właśnie ukończyłem artykuł pod tym tytułem. Początek już jest wydrukowany w № 81 „Gazety Codziennej”. Jeszcze nie umiem go na pamięć. Chcesz Pan? będę Panu odpowiadał według gazety.

Wziął gazetę i zaczął cytować samego siebie.

— „Im większe jest do nas zaufanie kraju, tem większa nasza odpowiedzialność, tem sumienniej, tem głębiej zastanawiać się nam należy”...

— To wiem. Zastanawiaj się pan *głębiej*.

— „Posiadamy zaufanie *większości* naszych współobywateli”...

Zapisałem.

— „Źródłem zaufania społeczeństwa do nas, jako polityków jest to, że nasze dążenia *odpowiadają jego uczuciom i aspiracjom*”.

Zapisałem i to.

— Ale... — przerwałem, zerkając na jego gazetę, i kradnąc oczkiem cytataę — ogół wam „ufa, że będziecie umieli zorjentować się, rozumnie zważyć i wybrać zawsze drogę”...

— Naturalnie „Nie dosyć nam iść łatwą względnie drogą nasłuchiwania, co będzie przez *większość* z zadowoleniem lub poklaskiem przyjęte”.

— Nie będziecie nasłuchiwali? (*Zapisałem*). Pójdziecie inną drogą. Pan *to* nazywa „zgodnością z uczuciami większości“ i polityką „demokratyczną“.

— „Trzeba czasem wybrać drogę trudniejszą, zrobić to, co *własny* rozum i sumienie nakazuje“.

— Wbrew rozumowi i sumieniu *ogółu*?

Zdawało mi się, że się uśmiechnął i mrugnął na mnie, jakby mówił: No, Pan wiesz, co to jest „rozum ogółu“!. Ale twarz jego przyjęła znowu wyraz drewnianej powagi. Rzekł:

— „Politycy wszakże są nie tylko od tego, żeby byli przez opinię pchani, ale także, żeby ją prowadzili“.

Zauważyłem skromnie:

— Święta prawda, ale trochę niebezpieczna. Bywają politycy, którzy dają się *pchać* przez ślepe i nędzne instynkty masy, a *prowadzą* je na pasku interesów swojej kliki. Ale to nas nie obchodzi — dodałem kurtuazyjnie. Stronnictwo pańskie dowiodło, że...

On ciągnął dalej z „Gazety“:

— „że umie się chwilowym nastrojom opinii przeciwstawiać, że tam, gdzie rozum i sumienie dyktuje pewną drogę, umie ją obrać, choćby przeważająca opinia pod wpływem chwilowego nastroju ją potępiała...“

— „Pewną“ drogę... Pan masz na wszystko gotowe sprawdziany... Tak mówią *zwycięzcy*... Winszuję!.. słowem, zwyciężaliście, idąc przeciw „przeważającej opinii i nastrojowi ogółu“... (*Zapisałem*). I to nazywał Pan działaniem „w zgodzie z uczuciami większości“. Cudownie!

Podziękował mi lekkim kiwnięciem głowy i mówił dalej z № 81:

— „Umiemy zachować spokój i równowagę tam, gdzie szerokie koła ją tracą, zdolni jesteśmy wejrzeć głębiej w położenie, właściwiej ocenić znaczenie wypadków, przewidzieć następstwa“...

— Więc głosząc za wnioskiem rządowym, przewidywaliście, że będziecie rozpedzeni, że za danie przewagi szali zwiększonego poboru rekruckiego w nagrodę do-czekacie się zmniejszonego poselstwa?! Mielicie wiele „spokojnego i przenikliwego sądu, hartu i wytrwałości“ — cytowałem, zerkając na pismo w jego rękę.

Odpowiedział z dumą:

— „Może ich w pewnych chwilach zabraknąć ogółowi — nie trzeba, żeby ich zabrakło tym, którzy w imieniu ogółu politykę jego prowadzą“.

— Cóż teraz?... gdy „stanowisko posłów polskich jest bardziej wyodrębnione“?...

— „Obowiązuje to do tem większej samodzielności w akcji politycznej“.

— Należy sobie życzyć, aby do czwartej dumy pozwolono nam wybierać tylko jednego posła... Pana. Wtedy dopiero pokaże nam pan zwiększoną maksymalnie po-tęgę samodzielnej polityki!

Uściskał mi dłoń z wdzięcznością, ale głos mu trochę przybladł. Wyjąkał:

— to... „zmusza do bierności wtedy, gdy samodzielna akcja nie będzie miała przed sobą pola“.

Ale naraz przyjmując postawę małego rycerzyka Wołodyjowskiego, chowając jednak odważnie ręce do kieszeni i tytanicznie kiwając palcami w bucie — rzekł:

— „Stanowisko przymusowo bierne, wyczekujące jest częstokroć o wiele trud-niejsze od czynnego“.

Wszystkie wieńce Kutuzowa z pod Moskwy i Skrzyneckiego z pod Śniadowa zobaczyłem w myśli na jego czole — w przekładzie z języka wojskowego na cywilny.

Wiedziałem teraz, że zabiera się do „najtrudniejszej“ z robót: — nic nie robić.

— Tak jest. „Chcemy prowadzić politykę“.

— Jest to „tylko oświadczeniem“. Niczem więcej — przypominałem mu uwagę z jego artykułu.

Wpadł w ferwor, uniesiony marzeniem o walce politycznej zmniejszonej ilości głosów, o wojnie w charakterze biernym.

— „Poszczególne etapy tej walki wieńczą się korzystnym paktem“. „Te elementarne prawdy trzeba dziś *do znudzenia* powtarzać“. (Westchnąłem znudzony). „Spór o drogi polityczne sprowadza się *tylko* do tego, komu wypowiedzieć walkę, a z kim szukać przymierza“. „Gdybyśmy to zrozumieli, spory zyskałyby na jasności i logice i byłyby bliższe rozstrzygnięcia“.

— Geniusz! geniusz! — szepnąłem do siebie zachwycony tem objawieniem. „*Tylko* do tego“... Zrozumielibyśmy — i dalibyśmy sobie wszyscy zaraz buzi.

To takie proste!

— „*Niestety*, tradycyjna *bierność* umysłu i charakteru“ (Nie „bierność“, ale „wyczekiwanie“, proszę Pana!) „ciągle utrzymuje u nas przy życiu skłonność do zjednywania sobie kogoś — rządu, albo ruchu wolnościowego w Rosyi“.

— Panowie „musieliście w waszych szeregach walczyć z tą skłonnością“?...

— „Naturalnie... w stosunku do grup opozycyjnych rosyjskich“...

— Ale przecie Pan radzisz „zawierać przymierza?“

— Tego nie wolno nazywać „zjednywaniem sobie kogoś“ — choćby nie czyniło się ustępstw ze swego programu i walczyło o cele wspólne. A fe!... Walka o słowa — proszę Pana — to grunt w walce politycznej. Starać się *nie zjednać sobie opozycyjnych grup* rosyjskich, *aby* skłonić je *do przymierza z nami* — to jest najgłębsza kwintessencja mądrości narodowo-demokratycznej!.. Tak, panie... „bo nic tak nie uczy zasad racjonalnej polityki, jak doświadczenie“.

Audjencja była skończona. Zachwycony tą pełnią i tęgością myśli, pod silnem wrażeniem — w roztargnieniu — wyszedłem, zamiast przez drzwi, przez okno.

1 Listopada Roku Pańskiego 1907.

Obecna sytuacja polityczna.

.....

 wczoraj.
 Dziś
 , ponieważ
 Jednakże
 jutro
 Albowiem
 nigdy.

(Artykuł skrócony z przyczyn niezależnych od redakcyi, z 90 wierszy do 9-ciu i ocenizowany przez samego redaktora „Wolnego Słowa“).

La Chambre Introuvable.

„Ta trzecia“ — od ery „konstytucyjnej“, reakcyjna — na termometrze wyborczym, „twórcza“ — wedle różowych nadziei biurokracyi, doprawdy zbyt już ciężką przejęła nas troską.

Po 1-e, zapominamy, że Duma — to *tylko Duma*. To znaczy: tylko usta. A choć ważnem jest, co mówią upoważnione usta, zawsze — ważniejszym jest, co czynią władne ręce. Wprawdzie potężny okrzyk pierwszej Domy przyniósł ulgę zboliałym piersiom narodów. Lecz ważniejszym było, co czyniły naówczas miarodajne ręce. Czyniły to samo, co przedtem. Chwilami słabiej, chwilami „lepiej“. Nawet złoto-usta Duma nie stanowi jeszcze panaceum na rany społeczne. Gdy Izba prawodawcza *może* mówić, a ręce władzy wykonawczej *nie mogą* nie usłuchać, — wtedy dopiero historia idzie prędko naprzód.

Po 2-e, zapominamy, że Duma — to *już Duma*. To znaczy — to już nowa instytucja, o której niedawno grzechem było pomyśleć. To już początek zwyczajów parlamentarnych. To już ciało gotowe — malutkie, chudziutkie, ale do wzrostu ze zmianą materji przydatne. To już ranta do nowego obrazu życia. To forma, która *może* nowym napelniać się duchem. Z czasem *musi...* Rewolucya czynu jest sparaliżowana na razie silniejszą mocą, rewolucya uczucia przygnębiona własnym szaleń, ale rewolucya ideowa — najgłębsza bądź co bądź osiągnęła pewien tryumf. Znużona i osłabiona teraz puszcza przed sobą ewolucję. Idzie za nią, zamknawszy obolałe, senne powieki. A idąc, wypoczywa po wściekłym rozbiegu. Lecz teraz ewolucya musi spieszyć, aby nie była dopędzona rychło przez tamtą, wypoczętą, i jej tchu płomiennego nie poczuła na plecach.

Trwogi o przyszłość doznają tylko ci, co życie mierzą na krótką metę, co nie znają praw przyływu i odpływu na morzu zjawisk społecznych. Reakcyjna Duma jest niespodzianką tylko dla tych, którzy zapominają, że Francya po wielkiej rewolucyi jeszcze osiemdziesiąt lat zmaga się z tą samą polityczną reakcją, zapominają, że epoka tworzenia się rządów Konstytucyjnych na zachodzie we wszystkich krajach widziała rozpędzane izby, widziała na ich miejscu nowe, lojalne.

Niepokoja się mocno o jutro tylko ci, co nie myślą o tem, że wszelka reakcja

ma swoje granice. Jeżeli nie znajdzie ich w sobie, znajdzie je nazewnątr. W wielkiej maszyneryi dziejowej pewne fakty szczipają się z sobą w czasie, jak przystosowane do siebie *kola zębate...*

Stary podagryk Ludwik XVIII marzył o pompie absolutyzmu Ludwika XIV, który załatwiał drażliwe funkcje fizjologiczne w obecności stojących kołem książąt krwi. Wytarł on w podręcznikach historii wspomnienie 89 roku, imię konsula i cesarza Napoleona i wstępując na tron liczył sobie 19 lat panowania „po szczęśliwym i spokojnem dokonaniu żywota przez Ludwików XVI i XVII-go“. Trzeba było aż nacisku mocnego naówczas i liberalnego naówczas cesarza Aleksandra I, aby Burbon raczył podpisać kartę konstytucyjną. Depce ją prędko — depce tak skutecznie śrubowanym w górę cenzusem wyborczym i intrygą ministrów, że jest już prawie przerażony, nietylko zachwycony, gdy z urny wyborczej wychodzą ludzie monarchiczniejsi od niego, od monarchy.

Tę „*swoją izbę*“, oczyszczoną zupełnie z idei wolnościowych, nazywa on „*chambre introuvable*“ — izbą, której druga podobna już jest niemożliwą. Ta „niemożliwie dogodna“ dla rządu izba przyprowadza monarchę o lekkim dreszczu. Musi znosić, jak ultrasi gwałtem przywracają *ancien regime* — jak dokonywują wścieklej zemsty na bonapartystach — jak więżą w ciągu kilku dni 7000 osób — jak „biały terror“ Richelieu’ego budzi groźny pomruk wśród tłumów. Wie on, czem to pachnie. Już poczynają się rozruchy w Lionie, w Grenobli, w Paryżu... Ludwik XVIII ma złe sny, rozwiązuje *zbyt niedogodną z powodu zbytnej dogodności* izbę, obniża stopę wyborczą, na chwilę rzadzi liberalnie. Ale starzejąc się i niedołężniejąc, daje się wieść na tory fanatyzmu przez swoich ministrów i krewniaków królewskich: gasnącemi oczyma błogosławi prawu Descazesa o uwięzieniu bez śledztwa sądowego — zaduszeniu głosu prasy — zakneblowaniu ust profesorskich. W ostatnich chwilach panowania napozór tryumfuje: doczekał się izby, w której na 430 członków było postępowych zaledwie 13 przedstawicieli, umiarkowanych tylko 4 — izby bez opozycji, tylko o włos mniej dziwnej, niż owa opozycyjna — od strony prawicy, monarchiczniejsza od samego monarchy. Śmierć oszczędziła Ludwikowi XVIII widoku kresu tej drogi, którą tak chętnie w ślad jego podążał jego nas-

tępa Karol X. Ten wprowadza tak zwany „*regime kapucyński*”—publicystykę uważa za zbytek w porządnym państwie — w izbie ma na swoje usługi całe stado głosujących baranów — piastuje uparcie gabinet Polignaca, nazywany „ministerjum niemożliwym” — nie słyszy złowróżbnego okrzyku „*Journal de Débats*: „O nieszczęśliwa Francjo! nieszczęśliwy królu!” — podpisuje wreszcie fatalne ordonanse...

I widzi Lipcowe dni 1830-go roku!...

* * *

A oto drugi przykład wymownego szepienia się dat:

W styczniu 1848 r. w Izbie Parów toczą się obrady nad adresem. Proponowano tekst: „Nasi Książęta! ukochane dzieci wasze spełniają w Afryce obowiązki sług państwa!”

Wiktor Hugo sprawia wrażenie „*dzikiego opozycjonisty*”, bowiem proponuje poprawkę:

„Książęta! ukochane dzieci wasze spełniają w Afryce *swoje* obowiązki sług państwa!”.

Podobnie 14 stycznia Izba Parów nie pozwoliła panu Alton Shee wymienić nawet nazwy Konwentu — zagłusza go hałasem i trzaskiem pulpitów — niemal przemocą ściągając z trybuny.

A zaledwie w miesiąc potem jakiś starzec poblądłemu usty szepce na placu Châtelet: „To rok 1830!”.

Nie, to był luty 1848 roku!

* * *

„Wolne” Słowo dalekiem jest od porównywania różnych niezmiernie epok, narodów, okoliczności, ludzi...

Pragnęliśmy tylko stwierdzić analogię rysów najogólniejszych. Pragnęliśmy wskazać, że nie należy spoglądać na reakcję, jako na *niespodziankę* właściwą tylko Rosji i naszej epoce..

A jeżeli doświadczenie historyczne czegoś uczy, to powinno ono pouczać „wybrańców narodu” — niby morał z bajki — że... dobrze jest, jeżeli reakcja znajduje granice *w samej sobie*.....

* * *

Tyle... o jutrze—może dalekiem. Reakcyjne „dzisiaj” posiadać będzie samo swoją moc wymowy, więc nie potrzebuje wyręczać się „Wolnem Słowem”. Usłyszycie jego głos sami...

14 Listopada 1907 r.

Zarathustra-Nietzsche.

Konferencja wygłoszona w Filharmonii przed symfonią Rysz. Straussa „Tak rzekł Zarathustra”.

I.

Czy to nie zamysł szalony?

W 30 minut odtworzyć Wam postać człowieka, który, jak Tytan, uderzał w niebios wrzeczadze—jak orkan, przeleciał nad zastołem bagniskiem naszej obłudy moralnej i wstrząsnął niemi do głębi, aż wszystkie żaby rechotać jęły w przeżrazeniu—dać wam obraz buntowniczego ducha, który minę podrzucił pod gmach naszej moralności i widział, jak zarysowały się ściany tego gmachu olbrzymiem pęknięciem, jak kolumny chwiać się poczęły—i znużony potężnym wysiłkiem, może wyczerpany w tym ruchu zuchwałej ręki, może ogłuszony hukami wybuchu, padł w obłędzie, pod strzaskaną kolumną.

W 30 minut zeszkrobać z waszych dusz tę warstwę frazesów — mniejsza o to, chwalczych czy ganiących — którą może poraziła was płaska gadanina o Nietschem; bo dzisiaj każdy odważa się o nim mówić, jak wczoraj byle podczłowieczek wyobrażał sobie, że dorósł do miana nadczłowieka.

A przecie ten, co mówi lub pisze, o tym burzycielu-twórcy, nie odczuwając tragicznej rozkoszy, jaką daje jego dzieło, godzin byłby, aby mu język usechł, albo ręka zdrętwiała — gdyby rozumiał, co czyni.

Bo nie rozumie Nietschego i nie wytłumaczy go innym nikt, komu nie pęka serce w męce i przeżrazeniu na myśl, że on tyle zburzył, na widok tylu potrzaskanych a drogich ołtarzy — i komu nie pęka ono w zachwycie i rozradowaniu wobec nowego ideału, nakreślonego przezeń ludzkości—nowego słońca, które zwie się *nadczłowiekiem*.

Więc w półgodziny—podać Wam cały świat idei?

A czy wasze duchy mają ręce tak podniosłe, aby go dosięgnąć? Czy są tak mocne, aby go utrzymać? Czy te duchy są dość uczciwe i krzepkie, aby zezwolić na poddanie próbie swoich starych bóstw, dość czyste i wdzięczne, aby przyjąć nową wiarę? Czy są dość zdrowe — aby ten straszliwy lek szaleńczo-genialnej myśli Nietschego nie stał się

im trucizną?!... — był im czystym, acz mroźnym tchem gór, krzepiącym płuć!...
A no! — spróbujemy...

II.

Minęły czasy. Nie stało proroków. Przestali obiegać ulice Jeruzalemu i Babilonu dziwni ludzie, półnaczy, z włosom rozwichrzonym, z gorejącymi mistycznie oczyma, z gorejącym węglem wymowy w ustach, szaleńcy, którzy mówili straszliwe prawdy królom i ludom i kazali o przyszłości...

Minęły tysiąclecia. Nastaly czasy pozytywne. Nie stało proroków.

Nieprawda! Najrozumowszy ze wszystkich wieków, XIX, stwarza ich trzech.

W lesie kamiennych domów XIX stulecia zabłąkał się prorok z Jasnej Polany—Tolstoj. Przeciwwstawil się on całej *mądrości* naszej kultury, w obliczu grozy śmierci ogłosił miłość ewangeliczną za najwyższy postulat rozumu, nawoływał ludzkość do źródła pierwotnych chrystjanizmu, do oczyszczzonej wiary. Szalony! nie wiedział, że ludzkość nie wraca wstecz, że cofnąwszy się, odbyłaby na mocy niezłomnych praw rozwoju tę samą drogę przez ciemność i podłotę średniowiecza do oświeconej podłoty dni obecnych. Tolstoj pokłócił się ze światem dzisiejszym, nierozumiany nie rozumiał go wzajem. Odwróciły się od niego nawet karły, nie wiedzące, że olbrzymem pozostał nawet w błędach swoich. Głos proroka z Jasnej Polany przycichł. Wzywane przez niego *dobro* na ziemię nie zeszło...

Zdała od Rosyi centralnej, gdzieś na północy, na wybrzeżach Anglii, równocześnie zjawił się inny prorok, — głos którego późno obil się o mury naszego umysłowego zaścianka. To był Ruskin. Przeciwwstawil się on całej technice — całej *brzydocie* naszej kultury. Głosił odrodzenie przez *zachwył*. Opowiadał o pięknie sztuki i o większym odeń pięknie natury. Na jego rozkaz gdzieś zaturkotaly stare wrzeczona wiejskie—gdzieindziej otwarto wspaniałe muzea sztuki — niejedna *lady* kupiła ręcznie tkaną bieliznę w posagu dla córki — niejeden lord nabył na ściany swego pałacu malowidło włoskie... Lecz morze brzydoty—olbrzymie morze—nie przestało zalewać drobnych wysepek Ruskinowskiego piękna. Nie rozświecony świat jego oazy, spowinięte nadbiegającym zewsząd czadem kominów fa-

brycznych. W obliczu tysiącznych krzywd świat nie mógł uśmiechać się pięknie. Ruskin zeszedł do grobu—a życie pozostało szpetnem, jak dawniej...

Ale oto—znacznie później od tamtych dwóch—już ku schyłkowi ubiegłego stulecia—naraż pojawia się nowy prorok. Potężniejszy od tamtych—przeciwstawia się on całej naszej *moralności*—odwiecznym ideom moralnym—i uczy człowieka *Mocy*.

Przybiera dziwaczne imię — persko-irańskie.. Zarathustry. I zda się, że przyszedł z jakiejś pustyni na nasze pobraża. Zda się, że wyszedł naprawdę z pieczary po latach dziesięciu męczarnych rozmyślań, że długo walczył ze sobą, nim krzyż proroczy wziął na swe barki. Boć wiedział, że wszystkie ludy kamieniami pobijają swoje proroki. Długo i sumiennie ważył, czy znalazł prawdę — czy godzien jest ją objawić — czy jest ona światu potrzebna. Z gór swoich zeszedł samotnik w doliny, bo kochał człowieka — i w imię swojej miłości dla niego chciał mu objawić straszliwie-cudowną prawdę o Nadczłowieku...

Był filozofem, bo ten, co pisze tablice nowych wartości, co uczy „przewartościowania wszystkich starych wartości“ — choćby nie stworzył systemu nudnej architektury—jest filozofem.

Ale jeszcze więcej był poetą—choć bał się, że „poeci za wiele kłamią“ — i obawiał się, że sam mimowoli kłamie: Był poetą, bo mózg jego kipiał warem tysięcy obrazów, a każda myśl krystalizowała się w mig w przypowieści. Powiadała, że posiadał język proroków biblijnych. To zbyt mało! Posiada ten język, pomnożony przez 2,500 lat kultury—polyskliwy i twardy, jak dyament—wyczulony, jak mimoza — delikatny, jak siatka pajęcza—wzbogacony przez wszystkie tęcze serca i wszystkie gromy myśli, jakich nie mógł znać jeszcze Izajasz lub Jeremiasz.

Nadewszystko jednak był prorokiem—bo odbijając się od najodleglejszych punktów powstania życia na ziemi, dążył myślą w nieprzejrzaną otchłań wieczności, wypatrując tam nowych słońc. Był prorokiem, bo wskazywał ludzkości nowe drogi i nowe cele...

I to był dziwny prorok... Takiego dotąd nie było... On nie szukał pokornych uczniów. On nie chciał, żeby Zarathustrze wiercono na słowo. To był prorok, który pouczał, że nie jest autorytetem, bo autorytetów niema... To był

prorok, który chciał, aby go sądzono... Nie słuchaczy szukał, ale współtwórców swojego dzieła... Szukał następców, którzy pójdą za nim dlatego, że będą iść za sobą...

Nietschego długo nikt słuchać nie chciał. Nie znalazł on wydawców na swoje książki. Sam je musiał wydawać. Już był w murach szpitalnych, kiedy echo słów, zawieszonych przezeń w powietrzu, było odbijane się grzmiotem wśród kamieni ludzkich. Za murami szpitala nie dosłyszał tego świstu i zgrzytu, syku i klątw, którymi rzekomi obrońcy ideałów piętnowali burzyciela — wykręcając kłamliwie jego myśli. Nie dosłyszał też małych przedrzeźnień swoich idei, nie dosłyszał też potem obrzydliwych oklasków tłumu, który ze zmianą mody już go uwielbiał, a jeszcze nie rozumiał. Nie widział na szczególne Nietsche swojego tryumfu.

Zresztą on nigdy nie szukał oklasków. I bodaj nigdy nie było większego kontrastu pomiędzy twórcą a dziełem. Kiedy dzieło jego zdaje się zionąć lodowatą okrucieństwem logiki, nieubłaganą, nie znającą litości mocą negacyi, piekielnym ogniem piorunów jego „duchowej burzy“, on sam był w życiu skromny i słodki, tkliwy i uprzejmy, był „najcichszym pomiędzy cichymi“.

I człowiek-Nietsche powinien zostać komentarzem do dzieła-Zarathustry dla tych wszystkich, którzy nie chcą fałszować prawdy.

III.

Gadziny syczą:

„On, zuchwały, pozwolił sobie przejść na tamtą stronę dobrego i złego“.

Tak jest! Ale cóż to znaczy? Czy to znaczy, że zniszczył wszelką moralność?... że chciał wyzwolić życie z karbów idei o dobrem i złem?...

Nie! jeno pewnego dnia, gdy zauważył, że w tym świecie duchowym ktoś zdeptuje drugiego, krzycząc: „jam jest biały! a ty masz skórę czarną!“ — ów zaś kornie zdeptać się daje, albo rzeczy te dzieją się tak samo w odwrotnym kierunku — gdy w zgłębku i zamęcie i w tłoku masy skaradowym, ogłuszony i oślepiiony, nie mógł znaleźć miary dla rzeczy ludzkich — i widział, że nikt jej w rękach niema i że wszyscy kłamią, iż mierzą wedle pewnej miary, która schowana jest przez kluczników niebieskich — wówczas oburzony przeszedł na drugi brzeg i ztamtąd okiem duchowego ostrowidza jął mierzyć postaci duchowe ludzi...

I na tamtym brzegu przestała go w błąd wprowadzać barwa powierzchowna — maska. Ztamtąd realniej ujmował prawdziwe kształty. Widział, że ci, co kłócili się o kolor swojej skóry duchowej, byli częstokroć jednakowo *mali*. I widział rzekomo czarnych, wyrastających po nad tłumy rzekomo białych. I inną miarę znajdował do mierzenia ludzi — ich wzrost duchowy, potęgę ich woli do życia i zdolność podnoszenia przyszłości...

I rozpoczął swoją trudną i odpowiedzialną pracę — przewartościowania wszystkich wartości... A naówczas gadziny — gadziny złe i... „dobre“ — mocniej jeszcze syczeć zaczęły:

„On niszczy wszelkie ideały moralne!“.

A Zarathustra odpowiedział im przypowieścią:

Co jest dobro i co jest zło — tego nikt nie wie napewno, nie wie raz na zawsze...

Niema nic nieruchomego, nie wyłączając wyobrażeń o dobrem i złem. Toć życie jest rzeką — życie w wiecznym znajduje się ruchu. A, prawda — nad rzeką są mosty i mostki i te zdają się nieruchomymi. Ktoś patrząc na nie, może pomyśleć o złem i dobrem: Te pojęcia są *nad* rzeką, życie przecieka *pod* nimi; one zostają nieporuszone.

Ale kiedy przychodzi zima i rzeka zamarza, ktoś mógłby przecie tak samo zapytać: „azali nie wszystko jest *nieruchome*? W zasadzie wszystko jest *nieruchome*“. Lecz oto nadchodzi wiosna, a z nią wiatry burzliwe. Lód pęka i łamie się mosty i mostki i wszystko płynie i pędzi...

„O bracia moi — woła Nietsche, charakteryzując chwilę obecną — czyż teraz nie jest już wszystko w rzece? Czy wszystkie nasze poręcze i mostki nie runęły już w wodę? Kto trzyma się jeszcze „dobra“ i „zła“?“

Biada nam! Szczęście nam! Wicher szumi!“...

Biada! — bo moment upadku starych wartości — Nietsche rozumie to dobrze — jest chwilą straszliwych niebezpieczeństw. Wszystko unosi wir. A za cóż uchwycą się słabi?...

Szczęście! — bo dopiero od tej chwili, gdy runą przeżyte wartości, którymi pokolenia umarłe spętały świat żywych na długie wieki — teraźniejszość zdobywa wolę i możność tworzenia przyszłości, budowania nowego życia... Moment cudowny dla wszystkich silnych duchem...

I to był właśnie moment Nietschego... Wystąpił, choć wiedział, że go otoczy

nienawiść, że przedewszystkiem napadną nań tak zwani „dobrzy“, trzymający się uporczywie starych pojęć o dobrem i złem.

Bo kogóż oni nienawidzą najmocniej? — pyta.

Twórcę, — t. j. tego, co rozbija stare tablice i wartości. Przestępującego stare przykazania zowią przestępcą. Dobrzy —

a to przecie ci, co sami nie *mogą* tworzyć. Oni są początkiem końca — krzyżują tego, co nowe wartości na nowych pisze tablicach, przynoszą *sobie* na ofiarę przyszłość. Ach, oni krzyżują całą przyszłość ludzkości!

Oni przeszkadzają przyjściu nadszłości wieka!

(d. n.)

Epizod z wojny 1831 roku.

Maj. W pobliżu Śniadowa, między Łomżą i Ostrołęką. W kwaterze naczelnego wodza. Wieczór. Skrzynecki siedzi w fotelu. Prądyński wchodzi szybkim krokiem; mocno wzburzony

Skrzynecki. A cóż to cię tak pili, luby jenerale?...

Zażoga w tobie jakaś!... Nie uwzględniasz wcale

Pory, ani nastroju... Gwałtowałeś pono,

Aby...

Prądyński. Prosiłem, wodzu, aby mnie wpuszczono...

Lecz u wrót twoich stoi adjutantów chmara,

Broni wstępu...

Skrzynecki. Nie grzeszy, myślę, kto się stara,

By wódz, na którym ciężar poczywa wojenny,

Miał chwilę odpoczynku...

Prądyński. Wodzu, jeśli-ś senny...

Skrzynecki (urazony). Jenerale!... mówiłem tylko, że nie pora

Do porad... Zmierzch już zapadł. Odmawiam z wieczora

Za nasz oręż litańję do Najświętszej Panny...

Czemu-ś raczej nie przyszedł w godzinie porannej?

Prądyński. Wodzu, rano-ś z pannami zajądał śniadanie...

Skrzynecki Z *damami* z miasta!... W słowach nieogłędnyś, panie Je-ne-ra-le!...

Prądyński. Z damami! Mało ztąd pociechy...

Skoro wieczorem pełnisz obowiązki klechy...

Skrzynecki. Jenerale! zbyt liczysz, że mam język mięki...

Prądyński. Ależ wodzu...

Skrzynecki. Gdy żołnierz Najświętszej Panienki

Jest kornym hołdownikiem, ztąd w niebie pociecha...

Źle jest tam, gdzie za naród błaga tylko klecha...

(„Klecha“, jak Pan powiadasz) — gdzie wódz, pełny pychy,

Nigdy tonąc w modlitwie nie potrafi cichej...

Choćby geniuszem Marsa miał promienne czoło,

Jeśli niebo nie sprzyja, przyjdzie Waterloo..

Prądyński. Wodzu, ja nie zaprzeczam, ale czasu wojny

Wódz, co czuwa, być musi..

Skrzynecki. Zawsze bogoboyny!

Pan jesteś Wolterjańczyk!... A ja się nie chlubię...

Prądyński. Wodzu, nie po tom przyszedł... Dyskursów nie lubię...

Nie znam się na tych kwestjach... Ja tu z pilną sprawą...
Już rano chciałem mówić... Byłeś wówczas strawą
Zajęty...

Skrzynecki. Jenerale!... widzę, jesteś zdania,
Że wódz może mieć siły nawet bez śniadania!...

Prądyński. Żartujesz, wodzu... jednak zgódź się, że to nudnie...
Zajętyś rano, wieczór, zajętyś w południe...

Skrzynecki (z pompą). Dzienniki przysły nowe z Paryża, z Londynu...

Prądyński (energicznie). Nie pora na czytanie... Teraz czas do czynu!
Mam plan...

Skrzynecki. Czynić?! Wyborny jesteś, jenerale...
Po za polem bojowym nic nie widzisz wcale...

Prądyński (mocno). Mam plan³ który potrzeba...

Skrzynecki. Nie same armaty
Stanowią o zwycięstwie... Pióro dyplomaty,
Gdy skrzypi umiejętnie, huku armat warte...
Nie wygra, kto na jedną wszystko stawia kartę.
Cezara geniusz niechaj świeci nam podwójny...
Wódz wielki, a zarazem i statysta czujny...

Prądyński (niecierpliwie, z żalem).
Wodzu! po co słów tyle? Ja plan ci przynoszę...
Księcia można otoczyć!... Wysłuchaj mnie proszę.

Skrzynecki. Bowiem jak się podwoje wolności otwiera?!
Złączyć moc Aleksandra z bacznością Cycera...
Cała sztuka, by...

Prądyński (kończy). Zabrać księcia do niewoli!...

Skrzynecki (patrzac na niego ze zdziwieniem). Jenerale, dziwaczysz!

Prądyński. To można!

Skrzynecki (ironicznie). Po-wo-li!
Powoli... Jenerale, nie jestem szaleńcem...
Nie pozwolę się skusić Herostrata wieńcem...

Prądyński. Plan mój nadzwyczaj prosty...

Skrzynecki. Lecz ma ostre kanty!

Prądyński. Straże przyniosły wieści... Nie wie nic Konstanty
Że otoczony jest przez nas... Sądzi się bezpieczny...
Możem go wepchnąć w błota...

Skrzynecki. To plan niedorzeczny!

Prądyński (rozkładając przed nim arkusz papieru).
Wodzu, zbyt szybko sądzisz — oto masz na planie...

Skrzynecki (lekceważąco).

Zostaw pan... jutro przejrzę Pańskie rysowanie.

Prądyński. Jutro!... Będzie za późno. Jeszcze dzisiaj nocą
Trzeba pchnąć wojska... zlecić...

Skrzynecki. O! z Bożą pomocą
Nie spóźnim...

Prądyński. Spóźnimy! Bóg temu pomaga,
Kto pomaga sam sobie...

Skrzynecki. A gdzie jest rozwaga?

Prądyński (ożywiony, pokazując na plan).
W moim planie! Spójrz, wodzu—ot, tu są moczary,

Gdy Dybicz tędy pójdzie, to chyba na mary
 Z całą gwardją... Więc tędy odwrotu poszuka...
 Tu wzgórze... Ztąd Bem mu nad głową pohuka
 Jak to on grać potrafi. Tu las, a tu woda.
 Tę drogę przetnie Kicki, a ztamtąd mu poda
 Rezerwy Małachowski. Tutaj go zatrzyma
 Rybiński z ułanami. Tu my pójdziem... w pole...
 Uderzym z całej siły.. Jak w śmiertelnem kole
 Znajdzie się Dybicz z księciem... Tutaj wyjścia niema!...
 Śniadów to jest pułapka!...

Skrzynecki. Za dużo oczyma

Wyobraźni swej czytasz... tylko wy-o-braźni!

Prądzynski (z gorczyzą). Wodzu, wodzu!... patrz tylko... przecież najwyraźniej
 Okazuję pozycje. Można-ż zrobić więcej?
 Policzyłem... od Łomży pójdzie pięć tysięcy...
 Stąd pchniemy trzy tysiące. Tu od Ostrołęki
 Forsownym marszem...

Skrzynecki. Mogą spóźnić się!

Prądzynski (z rozpaczliwą energją). O, męki!

Nie spóźnią! Ale powstań! Krzyknij adjutanty...
 Niech lecą, co tchu!...

Skrzynecki (powoli) Mówisz zatem, że Konstanty
 Mógłby nam wpaść w ręce...

Prądzynski (mocno), Wpadnie!—to rzecz pewna.

Skrzynecki (chodząc po pokoju) Nie! to jest niemożliwe!

Prądzynski (do siebie, z bólem). O, to człowiek z drewna!..

Skrzynecki. Jenerale! wszak znasz mnie...

Prądzynski (niecierpliwie). Znam! znam!

Skrzynecki. Cóż się gniewasz?

Sądzę, że o odwadze mej nie powątpiewasz.
 Szedłem śmiało na Moskwę, Smoleńsk, Borodino...
 Widziałeś, żem tam stawał, gdzie najśmielsi giną...
 Czołem stoję, gdzie można zbierać tegie guzy...
 Konsul Marcellus, ten sam, co wziął Syrakuzy,
 Nie był większego ducha.. I nie schylę czoła,
 Jeśli mi kto odwagę Scypiona powoła,
 Bom z tej samej materii...

Prądzynski (z radością). A więc rzecz skończona?
 Uderzysz!

Skrzynecki. Nie! bo laurów boję się Warrona...

Wierz mi... jam nieco starszy... i dalej oczyma
 Patrę... Ufam taktyce Fabiusza Maksyma ..

Prądzynski (z wyrzutem). Wodzu! bawisz się w lekcje, bawisz w metafory...

Skrzynecki. A pan marzysz... to wizje wyobraźni chorej!...

Wziąć księcia?!... To kampanję skończyć!...

Prądzynski (prawie krzyczy). Właśnie! właśnie!

Skrzynecki (rozwódzi ręce). Jakże to jest możliwe?

Prądzynski. A niech piorun trzaśnie!

Tłomaczę przecie jasno... Nigdy, albo teraz...

Skrzynecki. Kombinacja jest ładna... Myślałem sam nieraz...

Prądzynski. Jam też myślał... Czas działać... Czas wykonać plany...
Noc ucieka. Trza spieszyć... Jutro zajdą zmiany...
Dybicz zwącha pułapkę... zmierzy siły nasze...
Pospieszy zająć Siedlcę... A wtedy nam kaszę
Zawarzy taką...

Skrzynecki. Furda! my musim zwyciężyć!

Prądzynski. Musimy, jeśli czasu nie będziem mitrężyć!...

Skrzynecki. (oczy wznosząc, z emfazą). Polska ma czas! Anieli biją jej godziny...

Prądzynski. Wybiją na jej zgubę, jeśli tej jedynej
Sposobności nie chwycim...

Skrzynecki. Jesteś pan zapalny...

Nie dziwna... Tyś za armię mniej odpowiedzialny...

Prądzynski (z męką w głosie). Gdybym był więcej!..

Skrzynecki (pyszalkowato). Wiem sam, jak naród mam zbawić!..*

Prądzynski (z gorzką ironją).

Dobranoc, wodzu!... Szkoda czas w rozmowach trawić!...

(Kłania się zimno-grzecznie i odchodzi).

W obronie fanatyków.

Nie dziw się, że fanatyk nienawiścią gorze,
Gdy zimnym swym rozumem przeczysz jego wierze;
Nienawidzi cię szczerzej, kiedy mówisz szczerze,
Nienawidzi, drząc może, że masz słusność może.

Powiadasz mu, że przyszedł na ten świat z przypadku,
Że przypadek — gra losów może wziąć mu życie,
Że nikt nie czuwa nad nim, że o jego bycie
Natura tyle myśli, co o lada kwiatku,

O owadzie i pyłku, o prochu przydrożnym...
Powiadasz, że mu krzywdy nic nie wynagrodzi,
Że cała jego cnota nieba nie obchodzi,
Że z próżnią tylko gada w swym hymnie pobożnym.

Powiadasz, że go żadna Siła nie osłania,
Że życie nie ma celu, a treści — przysięgi,
Że ginąć ma tak marnie, jak na wodzie kręgi,
Że nie masz dlań opieki, nie masz zmartwychwstania.

Powiadasz, że przyjsć może ta ślepa konieczność,
Co gwiazdy zapaliła bezwiednie w przestworze,
Że tak samo bezwiednie zagasić je może
I bez echa pograży cały byt ten w wieczność...

Powiadasz mu swem zimnem, poważnem obliczem,
Że ludzkość, jej nadzieje, miłość i cierpienie,
Że wiedza, z której czerpiesz dumne swe natchnienie
Na nic są — i że wszystko może stać się niczem!...

Powiadasz to i dziwisz się pełny ironii,
 Że śliną plwa na ciebie, za gardło cię dusi...
 O, wybacz naiwnemu, który mniemać musi,
 Że tak Boga dowiedzie i Boga obroni!

NIEUCHWYTNE.

W bukowym cienistym lesie,
 W gęstwinie smutnych drzew,
 Echo w poszumach niesie
 Melodyi pełny śpiew...

Zielonowłose Dryjady
 Tańczą na okół pni...
 Wkrada się promień blady
 Na bieli szat ich łśni..

A las ten na wzgórzu rośnie,
 Zkąd widać morską dal...
 U brzegu brzmi rozgłosnie
 Rytmiczna piosnka fal...

I nimf błękitne oczy
 Ciekawie patrzą z dna...
 Złocisty połysk warkoczy
 Czasem na fali drga...

Z dryjadą lub syreną
 Zapoznałbyś się rad...
 Lecz gdy się zbliżasz jeno,
 Cofa się dziwów świat...

Kryją się nimfy na dno
 I pierzcha dryjad tłum...
 Ich pieśń-li słyszysz zradną —
 Szum fal i liści szum...

na Usedom. 1907 r.

NA CMENTARZU.

Cicha zapadła noc...
 Wiatr liście topoli trąca...
 I czarodziejska moc
 Schodzi w poblaskach miesiąca...

Jest cmentarz tuż za wsią...
 Tam czary działają silne...
 Tam w bladym świetle drżą
 I chwieją się krzyże mogilne...

Gdzie u mogiły stóp
 Kładzie się srebrna poświata,
 Tam, milcząc, pęka grób
 I trupi zapach ulata...

Zsuwa się cicho głaz —
 Nieczyste działają siły —
 I biała postać wraz
 Powstaje cicho z mogiły...

Teraz pod cieniem drzew
 Wędrują wszystkie gromady,
 Żałosny nucąc śpiew...
 A księżyc przyświeca blado...

Śpiew tajemniczy ów
 Brzmi obco dla ucha — przecie
 Pojąłem kilka słów:
 „Żywi, a kiedyż przyjdziecie?!“

Gdy słuchasz, brak ci tchu,
 A pieśń jest strasznie-słodka...
 „Czekamy na was tu!“
 Tak brzmi ostatnia zwrotka...

PODSŁUCHANE ROZMOWY.

Wagon klasy trzeciej.

Jedzie dwóch żandarmów. Palą papierosy i otwierają sobie nawzajem dusze.
Żandarm. mało humanitarny: Hm... mmmeee...

Żandarm humanitarny: Nie! Mikołaju Afanasjewiczu. Robicie wielki promach! Nie rozumiecie naszego czasu.

Żandarm mało humanitarny: Nu-sss?...

Żandarm humanitarny (gorąco): Powiadam wam — i naród też trzeba oszczędzać. Powiadam wam, naród jest także potrzebny. Bez narodu zupełnie tyż nieźlia!...

Żandarm mało humanitarny: Hmmm...

* * *

Wagon klasy drugiej.

Dwóch bankierów. Jeden prawie chudy, drugi prawie zielony.

Bankier chudy: ...bo proszę pana, to... bydło... to nie potrafi zrobić porządku nawet rewolucji... Czy Pan wie, ile ja straciłem na kursach? (Nachyla się i szeptem coś mówi).

Bankier zielony: Ja... dwa razy tyle!... Powiadam Panu... spaskudzili całą rewolucję... Czasy są jeszcze bardziej kiepskie, jak były...

* * *

Wagon klasy pierwszej.

Dwóch hrabiów. Hrabia Ko-ko i hrabia To-to.

Hrabia Ko-ko: ...„Ofelia“ skoczyła... i złamała nogę... Zastrzeliłem ją.

Hrabia To-to: A „Hamlet“?

Hrabia Ko-ko: Wygrał mi 10,000.

Hrabia To-to: Pas mal...

Od Redakcyi.

W dodatkach do „Wolnego Słowa“ prócz utworów beletrystycznych ukażą się odczyty Leo-Belmonta:

- 1) Burzycielski i twórczy pierwiastek w rewolucjach.
- 2) Kobieta, jako ofiara i bojowniczka w ruchach wolnościowych.
- 3) Tłum. Jak myśli, czuje i działa.
- 4) Walka idei polityczno społecznych.
- 5) Proces ogółu polskiego z poezją w XIX wieku.
- 6) Żydzi w płomieniach pieśni.
- 7) O językach naturalnych i sztucznych.

W przyszłym numerze rozpoczniemy druk artykułu p. t. „W sieci tragicznych błędów“. (Postępowa demokracja. Narodowa demokracja. Asymilacja i sjonizm. Skrajne partje).

Biblioteka „Wolnego Słowa“.

Zapowiadamy ukazanie się w ciągu r. 1908 następujących utworów L. Belmonta w wydaniach książkowych:

- 1) „Jedna scena z tragedji polskich“.
- 2) Satyry (poezje i proza).
- 3) „Dla honoru“. Dramat w 3 aktach.
- 4) „Zamieńmy role“. Dramat w 3 aktach.
- 5) Socjalizm i sprawiedliwość. (Studjum ekonomiczne na tle krytyki Marksizmu).
- 6) Judasz Iskariota i inni. Leonidasa Andrejewa (przekł. z ros.).
- 7) „Peer Gynt“ Ibsena. (Przekład scen wybranych, opatrzoney ustępem krytycznym).

Prenumeratorzy stali „Wolnego Słowa“, zamawiający powyższe książki przed 1 Lutego 1908 r. otrzymują 20% rabatu z ceny księgarskiej, która stosownie do objętości wynosić będzie od 60 kop. do 1 r. 50 k. Zadatkowa opłata za przesyłkę wskazaną będzie w swoim czasie.

Ogłoszenie.

Niektóre prace Leo Belmonta.

„*Rymy i Rytm*“ — 3 tomy poezji. Nakł. J. Fiszera, Nowy-Świat 7.
 „*W wieku Nerwowym*“ — Powieść. Wyd. II. Nakł. E. Wende i S-ka.
 „*Tamten człowiek*“ — (z notatek warjata). Nakł. M. Lewińskiego.
 „*Eugieniusz Oniegin*“ — Puszkina (przekł. z ros.) Nakł. Gebethnera i S-ki.
 „*Romantyczni*“ — Komedja Rostanda (przekł. z franc.) Wydanie Bratmana.
 „*Lew Tolstoj*“ — Życie i dzieła. Skład E. Wende i S-ka.
 „*Filozofia Pieniędzy*“ — Jerzego Simmla (przekł. z niem.) Nakł. tyg. „Prawda“.
Zarys nauki handlu. Nakł. M. Arcta.
Najłatwiejsza metoda języka Esperanto — (wierszem). Nakł. M. Arcta.
 „*Sonoj esperantoj*“ -- Przekłady z poetów polskich i innych na Esperanto (w druku. Nakł. M. Arcta).

Abonenci kwartalni „Wolnego Słowa“ na żądanie otrzymają w Administracji po *zniżonej cenie*:

„*Rymy i Rytm*“ 3 tomy za Rb. 2,20 (zamiast 3,20), oraz
 „*W Wieku Nerwowym*“ Wyd. II za kop. 8⁰ (zamiast Rb. 1,20 kop.)
 aż do wyczerpania nakładu. Zamiejscowi dopłacają za przesyłkę.

Od Administracyi.

1. Przedpłata za „Wolne Słowo“ wnoszoną być winna *za kwartał, półrocze, lub rok*. Uprzejmie prosimy o nienadsyłanie prenumeraty w postaci marek pocztowych.

2. Pragnąc ułatwić nabywanie „Wolnego Słowa“ osobom *niezamożnym, zamieszkałym w Warszawie*, administracya dopuszcza wyjątek z powyższej reguły, stanowiąc *miesięczną przedpłatę w sumie 35 kop.* z warunkiem odbioru pisma na miejscu za okazaniem kwitu w dni i godziny wskazane przez Administracyę.

3. Pragnący otrzymywać pismo w domu w ciągu *miesiąca*, celem zaznajomienia się z niem, płacą jak za 4 pojedyncze numery, dopłacając za przesyłkę 10 kop.

4. Numery pojedyncze nabywać można w Administracyi „Wolnego Słowa“ po 10 k. Prócz tego będą do nabycia w kioskach, znaczniejszych księgarniach i w biurach ogłoszeń po cenie określonej dowolnie przez sprzedawców (jednak nie wyżej 15 kop.).

Ilość *pojedynczych* numerów — po za prenumeratą — w sprzedaży będzie ściśle *ograniczoną*.

UWAGA. Obecny numer okazowy rozsyła się w ilości 10000 egzemplarzy w Warszawie i na prowincyi, w Cesarstwie i za granicą *bezpłatnie*.

Jakkolwiek rozmiar okazowego numeru jest zdwojony, lecz cena pozostałych do nabycia egzemplarzy w Administracyi jest zwyczajna (10 kop.).

Zwykły numer zawierać będzie *minimum* stron 16 cie (wraz z okładką i dodatkiem).

Pismo wychodzić będzie w Czwartki, przeto rachubę tygodni rozpoczynamy od dnia *5 Grudnia*.

Niezadowoleni z otrzymania okazowego numeru „Wolnego Słowa“ mogą łaskawie zwrócić go Administracyi.

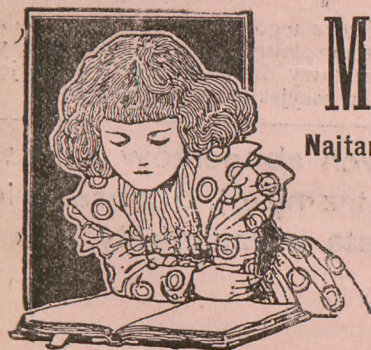
Niniejszy numer okazowy wyszedł dnia 28 Listopada.

Wydawnictwa M, ARCTA w Warszawie.

- I. Kozłowski Wł. M. Klasyfikacja wiedzy.
- II. Freeman E. E. Dzieje Europy.
- III. Creighton M. A. Historia Rzymu.
- IV. Kozłowski Wł. M. Historia filozofii Część I do Kanta.
- V i VI. Chmielowski P. Krytyczno-porównawczy przegląd dziejów piśmiennictwa polskiego.
- VII. Fyffe C. A. Historia Grecji.
- VIII. Jakób R. C. Historia literatury greckiej.
- IX. Gibbins H. Historia przemysłowa Anglii.
- X. Worsfold B. O sędziach w literaturze.
- XI. Freeman E. E. Instytucje polityczne Greków, Rzymian i Germanów.
- XII. Toqueville A. Dawne rządy i rewolucja.

PODSTAWY

WYKSZTAŁCENIA WSPÓŁCZESNEGO.



MOJE PISEMKO

Najtańszy tygodnik obrazkowy
➤ dla dzieci do lat 10.

50 Kwartalnie
kop. z przesyłką
75 kop.

Księgarnia M. ARCTA w Warszawie, Nowy-Świat 53.

PROGRAMY

WSZYSTKICH
ROSYJSKICH

PARTJI POLITYCZNYCH

UZUPEŁNIONE
PODŁOG OSTATNICH
REZOLUCJI ZJAZDOW

• • • • •

Cena 50 kop. — z przes. 55 kop.
Do nabycia we wszyst. księgarn.

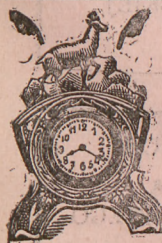
KSIĘGARNIA

K. Rowińskiej w Sosnowcu
ul. Główna dom Potoka.

Poleca świeży transport pianin i fortepianów fabryki K. M. Schredera.

Instrumenty wyprzedając, zamienia, wy pożyczca na bardzo dogodnych warunkach.

Księgarnia stale zaopatrzona w ostatnie nowości.



!! Bezpłatnie 30 dni !!

Jeżeli w ciągu tego czasu zegar okaże się wadliwym, firma zwróci pieniądze. **Żądajcie i przekonajcie się!** Tylko całkiem 2 rb. 20 kop. Wysyłam: piękny gabinetowy brązowy zegar stołowy „Efekt” z złożoną ozdobą i samoświecącym w ciemni cyferblatem; zaletą zegara jest, że doskonale chodzi i wytwornie zdobi każdy pokój. Cena tylko 2 rb. 20 kop. 2 sztuki — 3 rb. 90 kop. Taki sam zegar wyższego gatunku z mechanizmem „Jungens” — 2 rb. 50 kop., 2 sztuki — 4 rb. 50 kop. Wysyłam zegary sprawdzane co do minuty z gwarancją na 6 lat, za frachtem i bez zadatku. Przesyłka 40 kop. (Do Syberyi 75 kop.)

ADRES: Dom eksportowy S. PERELMAN. Warszawa, Pańska 39—25.

Bezpłatnie dodaje się do każdego zegara 1) pierścion z podrob. brylantem bengal., 2) brelok-binokl z portretem kobiecym. 3) Kieszonk. przyb. piśmienne i ciekawa premia. Firma moja nagrodzona 3-ma złotymi medalami.

Księgarnia GEBETHNERA i WOLFA poleca

- Biblioteka filozoficzno-społeczna I. Séailles *Gabryel*. prof. *Sorborny*.
Demokracja i oświata, przełożył K. Drzewiecki. 1 —
 — II. *K. Renouvier*. O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela, z nowego wydania ogłoszonego przez J. Thomasa przełożył K. Drzewiecki. 1906. 1 —
 — III. **Nauka i wolnomyślność**. Rozprawy, listy i mowy M. Berthelot, Ferd. Buisson, Jerzego Clemençeau, Gabr. Séailles i Maur. Vernés, przełożył Konrad Drzewiecki. 1 —
Brückner Aleksander. **Dzieje literatury polskiej** w zarysie, 2 tomy. 5 —
 Wydanie 2-gie. W oprawie płóciennej 6 50
 w półskórek 7 —
Gide Karol. **Zasady ekonomji społecznej**. 3-cie polskie wydanie wydług 10-go wyd. franc. ponownie opracowane i rozszerzone przez Dr. Włodzimierza Czerkawskiego prof. Uniw. Jagiell. 4 —
Koskowski Bolesław. **Polityka gminna**. Treść: Rozwój życia gminnego.—Obszar terytorjalny gminy miejskiej.—Sprawy Szkolne.—Sprawy robotnicze.—Polityka gruntowa.—Kwestja mieszkaniowa.—Podatki gminne.—Ochrona stanu średniego.—Komunikacje.—Przedsiębiorstwo gminne.—Ulepszenie stosunków zdrowotnych.—Zakłady kredytowe.—Komisje socjalne. 1 20
Koszuński Stanisław. **Podręcznik ekonomji politycznej**, w zakresie szkolnym, z zapomogi kasy im. Mianowskiego 1 20
Lewelę Emil. **Zasady ekonomji politycznej**. Z upoważnienia autora przełożył Sk.—przejrzał Jan Banzemer. — 80
Pietkiewicz Zenon. **Szkice społeczne**. Treść: Nędza i miłosierdzie.—Hygiena i życie.—Kobieta.—Samobójstwo. 1 20
Stecki Jan. **Zasady ogólne ekonomji społecznej** Wyd. 2-gie przejrzone i powiększone — 60
 — **W sprawie autonomii Królestwa Polskiego** — 30
Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia i wyjątki, pod redakcją Ig. Chrzanowskiego, H. Gallego, Gabryela Korbuta i St. Krzemińskiego. Tom I, II i III (dalsze tomy po 1 80
 W ozdobnej oprawie 2 50
Żukowski Władysław. **Dochody i wydatki państwowe w Królestwie Polskiem** 1 20

Ilustrowany, literacki
i naukowy miesięcznik

„Wiestnik Znanja”

pod redakcją

W. W. Bitnera.

Wychodzi w Petersburgu
8-my rok. Dodaje 36 książek bezpłatnie dla samouków.

48 książek rocznie za 8 rubli.

Kwartalnie po 2 rb. z przesyłką.

Adres redakcji:

Newski Prospekt 147/1.

DODATKI

„Wiestnika Znanja”

tworzą, co następuje:

- 12 książek: Biblioteka wiedzy systematycznej.
 12 „ Biblioteka samokształcenia.
 12 „ Uniwersytet ludowy.

Prócz tego wychodzi, jako dodatek bezpłatny 12 zeszytów: Międzynarodowy dziennik „*Espero*” w języku rosyjskim i esperanckim.

Administracja „Wolnego Słowa” uprasza przyszłych abonentów z miast i okręgów, w których pismo ma swoje agentury (patrz niżej), o zwracanie się wprost i wyłącznie do nich z zamówieniami i opłatą prenumeraty.

AGENTURY.

W ŁODZI
Biuro Dzienników
„*PROMIEŃ*”.
W PIOTRKOWIE
Księgarnia
PAŃSKIEGO.

W KALISZU
Księgarnia
R. Szczepankowskiego

W CZĘSTOCHOWIE
Księgarnia
MARYI LIPSKIEJ

W RADOMIU
Kantor Pism
M. SZENKA
ul. Lubelska № 15.
Agentura dla wszystkich
miast gub Radomskiej.

W SOSNOWCU
Księgarnia
K. ROWIŃSKIEJ
Agentura dla Pogoni,
Saturna, Niwki, Milowic.

W SIELCACH
Księgarnia
WŁ. SMYCZYŃSKIEGO
Agentura dla Zagłębia
Dąbrowskiego.

W PETERSBURGU abonentci zechcą się zwracać do księgarni L. GRENDYSZYŃSKIEGO.
 W KRAKOWIE „ „ „ „ GEBETHNERA i S-ki.